18 grudnia 1975r.
ŚWIĄTECZNE „ODGŁOSY"
Szczegóły patrz. str. 2

ŁÓDŹ: PODZIEMNE ARTERIE
STR. 8

JAK powstała w ŁODZI KOLEJ?
STR. 9

- CENTRUM TAJNEGO FRONTU
- CIA PRZECIWKO KUBIE
STR. 14

- TUNGUSKA ZAGADKA
STR. 6

- POLEMIKI
STR. 8

PIŁKARSKIE OBRACHUNKI

DYSKUSJA O PIŁCE NOŻNEJ
STR. 7

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 50 (940) 11 GRUDNIA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

W listopadzie odbywała się w Łodzi ogólnopolska konferencja naukowa na temat „Metodologiczne zagadnienia genologii" relację z obrad znajdą Czytelnicy w bieżącym numerze „Odgłosów". Polecamy również artykuł red. J. Wawrzaka „Berlińskie spotkania".

Piłka nożna od dawna cieszy się wielką popularnością wśród kibiców. Ostatnie niepowodzenia naszych piłkarzy zaniepokoiły opinię publiczną. W redakcji odbyła się dyskusja, którą zorganizowali i prowadzili Władysław Lachowicz i Bogda Madej. A jak przebiegała i o czym mówiono dowiedzą się Czytelnicy już z bieżącego numeru „Odgłosów", w którym cała strona poświęcona jest „Obrachunkom piłkarskim".

O wędrówce po łódzkich kanałach znajdujących się od 3,5 do 13 m pod powierzchnią ziemi i ludziach tam pracujących, bez których normalne funkcjonowanie miasta byłoby niemożliwe pisze Marek Miller. Poza tym zamieszczamy w bieżącym numerze listy czytelników polemizujących z autorami artykułów, bądź poruszających inne interesujące ich zagadnienia.

Na pewno wielu Czytelników zainteresują fragmenty książki dwóch amerykańskich autorów dotyczące dywersyjnej działalności CIA przeciwko Kubie. Książka, która już niebawem ukaże się na półkach księgarskich, jest obszernym dokumentem opartym na faktach zebranych przez obu autorów i potwierdzonych przez licznych świadków, w tym także b. pracowników CIA. Czytajcie więc „Po wydarzeniach w Zatoce Świń".

Grającym w gry liczbowe i inne – polecamy zapoznać się z radami udzielonymi przez red. Adama Lewaszkiewicza w artykule pt. „System na Toto-Lotka?" – jak wygrać?

Ponadto w bieżącym numerze „Odgłosów" znajdą Czytelnicy wszystkie stałe pozycje: program telewizyjny, informacje książkowe, felietony, oraz Magazyn, a w nim „Humoreski" Bohdana Piątkowskiego i sensacje ze świata.

PROBLEMY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

DLACZEGO powinniśmy LUBIĆ LUDZI DOBREJ ROBOTY?

Patrz str. 5

POLSKA–75

VII ZJAZD PZPR ROZPOCZĄŁ OBRADY

8 grudnia 1975 roku w Warszawie rozpoczęły się obrady najwyższej władzy partii – zjazdu delegatów. Przez kilka dni oczy całej Polski zwrócone będą na Warszawę, gdzie delegaci partii określą kierunki dalszego rozwoju kraju.

Relacje z obrad VII Zjazdu PZPR przekazywać będzie na cały świat około 200 zagranicznych dziennikarzy.

W sobotę, 6 grudnia 1975 roku, na dwa dni przed rozpoczęciem się obrad prasa opublikowała „Sprawozdanie Komitetu Centralnego PZPR". W „Sprawozdaniu" zawarta jest ocena działalności partii w każdej dziedzinie naszego życia. Ze „Sprawozdania" dowiadujemy się też, jaka jest partia.

Według danych z 30 czerwca 1971 roku PZPR liczy 2 359 tysięcy członków i kandydatów. 965 tys. członków i kandydatów partii – to robotnicy, 225 tys. – rolnicy, 263 tys. – to inżynierowie i technicy, blisko 140 tys. – nauczyciele, blisko 107 tys. – ekonomiści, 32 tys. – lekarze i inni pracownicy służby zdrowia, 36 tys. – specjaliści rolnictwa i leśnictwa.

W okresie między VI a VII Zjazdem PZPR szeregi partii wzrosły o 105 tys. osób. W tym czasie o 70,5 tys. zwiększyła się w partii liczba robotników.

W tym czasie zmieniała się nie tylko liczebność partii, ale także metody kierowania życiem politycznym, gospodarczym, kulturalnym i społecznym. Partia doskonaliła metody sprawowania swej kierowniczej roli, aby móc skuteczniej oddziaływać i inspirować rozwój naszego kraju.

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

VII ZJAZD PZPR

W dniu 8 grudnia br. o godz. 16 rozpoczął obrady w Warszawie VII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej z następującym porządkiem obrad: sprawozdanie Komitetu Centralnego PZPR oraz zadania partii w dalszym dynamicznym rozwoju budownictwa socjalistycznego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, sprawozdanie Centralnej Komisji Rewizyjnej, założenia rozwoju społeczno-gospodarczego kraju w latach 1976—1980 oraz wybory Komitetu Centralnego i Centralnej Komisji Rewizyjnej.

SPOTKANIE E. GIERKA I L. BREŻNIEWA

I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek spotkał się 7 bm. z sekretarzem generalnym KC KPZR Leonidem Breżniewem, który przewodniczy delegacji ZSRR przybyłej na VII Zjazd.

W trakcie rozmowy Edward Gierek i Leonid Breżniew wymienili poglądy na niektóre problemy braterskiej współpracy między PZPR i KPZR oraz między PRL i Związkiem Radzieckim, jak też wspólnej walki o pokój i bezpieczeństwo narodów.

REZOLUCJA ZGROMADZENIA ONZ

Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych uchwaliło rezolucję potępiającą okupację terytoriów arabskich przez Izrael, co stanowi pogwałcenie Karty Narodów Zjednoczonych. Rezolucja wzywa wszystkie kraje do wstrzymania jakiejkolwiek pomocy wojskowej i gospodarczej dla Izraela dopóki będzie on okupował ziemie arabskie i kwestionował należne prawa narodu palestyńskiego.

„GUERNICA" POZOSTANIE W USA

Słynny obraz Picassa „Guernica" nie powróci do Hiszpanii, ale — jak zakomunikowała w Paryżu wdowa po malarzu, Jacqueline — pozostanie w Nowym Jorku. Niedawno rozeszły się pogłoski, że w związku ze zgonem dyktatora Hiszpanii gen. Franco obraz ten, zgodnie z wolą artysty, powróci do jego ojczyzny. Picasso namalował obraz w czasie wojny domowej w Hiszpanii, a w 1939 roku przesłał go na przechowanie do Nowego Jorku, gdzie znajduje się do dziś. Na krótko przed zgonem Picasso w testamencie polecił by „Guernica" wróciła do Hiszpanii dopiero wtedy, gdy państwo to stanie się republiką.

DWORZEC CENTRALNY W WARSZAWIE ODDANY DO UŻYTKU

W ub. piątek oddany został do użytku Dworzec Centralny PKP w Warszawie — największy tego typu obiekt w Polsce, który przyjmie rocznie w ruchu dalekobieżnym 40 mln pasażerów.

ZNIESIENIE STANU WYJĄTKOWEGO W ETIOPII

Etiopski tymczasowy rząd wojskowy zniósł stan wyjątkowy ogłoszony 30 września br. w Addis Abebie i na terenach prawległych do stolicy. Komunikat rządowy stwierdza, że decyzja ta spełniła swoje zadanie; plany przeciwników rewolucji etiopskiej zostały udaremnione.

PROTEST KUBY

W liście skierowanym do sekretarza generalnego ONZ, Kurta Waldheima stałe przedstawicielstwo Kuby przy ONZ poinformowało z polecenia rządu swego kraju o faktach niedopuszczalnego traktowania zagranicznych dyplomatów przez władze policyjne Nowego Jorku.

W ostatnich dniach — informuje list — agenci nowojorskiej policji aresztowali dwoch kubańskich dyplomatów. Grożąc bronią kazali im położyć ręce na głowie, a następnie — mimo protestów — zakuli ich w kajdanki i doprowadzili na posterunek. Kubańscy dyplomaci przebywali w areszcie ok. 4 godzin i traktowani byli jak przestępcy kryminalni. Poddano ich przesłuchaniom i przeprowadzono ścisłą rewizję osobistą.

TEATR „PINOKIO" POWRÓCIŁ DO ŁODZI

Niedawno powrócił do Łodzi z dwudziestodniowego tournee po Jugosławii Państwowy Teatr Lalek „Pinokio". W czasie pobytu w Jugosławii — gdzie zespół naszych lalkarzy przebywał na zaproszenie zaprzyjaźnionego teatru z Zadaru — łódzki teatr dał w kilku miastach łącznie 15 przedstawień dla ponad 7,5 tys. widzów. Specjalnie z racji tych zagranicznych występów prezentowano spektakl pt. „Piękna Maria" — jugosłowiańskiego autora Pero Mioca (w polskim tłumaczeniu).

Owocna od kilku lat współpraca „Pinokio" z teatrem z Zadaru, jak również serdeczność, z jaką przyjmowano łódzkich lalkarzy w Jugosławii, pozwalają przypuszczać że nie była to ostatnia okazja do bezpośredniej wymiany doświadczeń z jugosławiańskimi przyjaciółmi.

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

RELACJE

WSPÓŁDZIAŁANIE SZTUKI

W listopadzie odbyła się w Łodzi ogólnopolska konferencja naukowa na temat: **„Metodologiczne zagadnienia genologii"**, zorganizowana przez Zakład Teorii Literatury Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ. W czasie trzydniowych obrad wygłoszono 16 referatów, wokół których toczyła się żywa, dyskusja a w której uczestniczyli m. in. przedstawiciele innych ośrodków uniwersyteckich (Warszawa, Kraków, Gdańsk, Lublin, Wrocław, Katowice, Olsztyn).

Ogólnopolskie konferencje humanistów nie odbywają się w Łodzi zbyt często. Tym cenniejsze są udane inicjatywy, ponieważ akcentują rolę miasta jako poważnego ośrodka naukowego. Nie jest zresztą przypadkiem, że taka konferencja odbyła się właśnie w Łodzi, gdzie z inicjatywy prof. **S. Skwarczyńskiej** badania genologiczne są szczególnie rozwinięte, a prof. S. Skwarczyńska jest redaktorem naczelnym międzynarodowego czasopisma **„Zagadnienia Rodzajów Literackich"**.

Genologia (nauka o rodzajach i gatunkach literackich) wydawać się może niewtajemniczonym dyscypliną bardzo wąską i specjalistyczną. Pogląd to nader błędny. Jest to dział nauki z jednej strony skupiający w sobie problematykę metodologiczną badań humanistycznych, a z drugiej — bliski potocznym doświadczeniom odbiorców sztuki. Językiem genologii (choć oczywiście odmiennym) posługuje się zarówno uczony badacz, jak anonimowa czytelniczka, o której wspomniał w swoim referacie prof. **J. Trzynadlowski. („Masowa i naukowa świadomość genologiczna")**, prosząca w bibliotece o dwie książki na święta — kryminał i książkę „ładną". Co to jest książka „ładna"? Wyjaśnienie takich potocznie używanych pojęć to także jedno z zadań genologii. Prof. **J. Trzynadlowski** mówiąc o naukowej i masowej świadomości genologicznej zwrócił uwagę na fakt, że niekiedy i w pracach naukowych definiując gatunek wskazuje się na jego cechy zewnętrzne i łatwo uchwytne.

Genologia poza tym, że rozważa problemy rodzajów i gatunków, próbuje określić swoją metodę, i podobnie jak inne dyscypliny humanistyczne dąży do coraz pełniejszej samowiedzy. Zabierając głos w dyskusji, dr **Grażyna Szymczyk** zwróciła uwagę na to, że na sali coś straszy. Co? Fantom genologii, traktowanej jako tablica Mendelejewa, jako „gablota z przyszpilonymi owadami", czyli myślenie potoczne o genologii, oparte na dziedzictwie klasycznym i pozytywistycznym — myślenie, które wdziera się także do naukowych rozważań. Zdaniem dyskutantki konferencja odbyła się przeciw fantomom — nie chodziło o klasyfikację ani o przyszpilanie w gablocie metodologicznej.

Podsumowując konferencję prof. **S. Skwarczyńska** i prof. **B. Lewicki** zwrócili uwagę na fakt, że badanie zjawisk w świecie sztuki skłania prędzej czy później do przekroczenia granic między sztukami. Konferencję należy potraktować jako jeden z przejawów kierunku pracy Instytutu, jako **międzydyscyplinarną rozmowę**, którą należy kontynuować.

Konferencję rozpoczął referat prof. **S. Skwarczyńskiej „Sytuacja genologii na tle sytuacji we współczesnych badaniach literackich"**. Prof. **S. Skwarczyńska** wskazała na dialektyczny stosunek genologii do teorii literatury — raz jest ona traktowana jako jeden z jej działów, kiedy indziej zaś nabiera charakteru samodzielnego. Prof. **S. Skwarczyńska** omówiła proces mnożenia się tzw. kierunków w badaniach literackich, zapoczątkowany w XVIII wieku — zjawisko początkowo pozytywne, które potem doprowadziło do pluralizmu metodologicznego z jednej, a do nasilenia się tendencji integracyjnych z drugiej strony. Na tym tle dostrzega się zmienność rangi i funkcji przyznawanej genologii w podręcznikach z różnych epok, a równocześnie — odrębność i samoistność tej dyscypliny, dokumentowaną choćby powstaniem w 1958 roku międzynarodowego czasopisma **„Zagadnienia Rodzajów Literackich"**, czy amerykańskiego czasopisma „Genre". Powstały też i powstają nadal prace o charakterze genologicznym bądź publikowane na łamach różnych czasopism bądź lężące w obrębie zainteresowań poszczególnych placówek uniwersyteckich.

Referaty metodologiczne (prof. **S. Skwarczyńskiej**, prof. **T. Trzynadlowskiego**, dr **E. Kasperskiego**, dr **E. Czaplejewicza**, dr **A. Starzyckiego**) mimo, że w zasadzie dotyczyły zagadnień genologicznych literatury, sięgały w problematykę ogólnohumanistyczną. Dowiodła tego także dyskusja, która skoncentrowała się wokół problemów wartości i ich roli w badaniach humanistycznych.

Międzydyscyplinarność znalazła dobitny wyraz w referatach prof. **B. Lewickiego „Obrazowość poetycka poezji i filmu"** i dr **E. Nurczyńskiej „Nieporozumienia wokół genologii filmowej"**. Prof. **B. Lewicki** i dr **E. Nurczyńska** zwrócili uwagę na związek genologii filmowej z literacką, postulując jednocześnie potrzebę stworzenia genologii pozaliterackiej, która umiałaby określić zjawisko tzw. kina awangardowego. Punkt wyjścia autorów referatów i końcowe wnioski były jednak inne.

Prof. **B. Lewicki** zaakcentował przede wszystkim związek natury kina z poezją liryczną w dużo większym stopniu niż z powieścią czy widowiskiem scenicznym. Autor zauważył, że niejednokrotnie teoretycy filmu odnajdowali w zasadach filmowego montażu metaforykę poetycką.

Dr **E. Nurczyńska** przeprowadziła systematykę pojęć genologicznych, stosowanych w nauce o filmie: zwróciła uwagę na to, że aktualne poglądy na genologię filmową są najczęściej zaczerpnięte z literackiej. Wraz z rozwojem kina powstała jednak potrzeba stworzenia odrębnej genologii, jej odrębność uwarunkowana jest odmiennością tworzywa sztuki filmowej.

Wiele referatów zajmowało się zagadnieniami sztuki współczesnej. Autorów interesowały albo związki gatunkowe literatury współczesnej z dawniejszą, albo potrzeba zmian genologicznych ustaleń i stworzenia nowych, spowodowana rozwojem sztuki XX-wiecznej.

Prof. **T. Cieślikowska** w referacie pt. **„Struktura centonu"** przypomniała i scharakteryzowała istniejący w starożytności i późniejszych wiekach gatunek (szczególnie rozwinięty w literaturze bizantyjskiej, schyłkowej) utworzony z wersów, zapożyczonych od klasyków literatury greckiej i łacińskiej. Gatunek ten nie zaniknął, ale metoda przejęta z centonu okazała się żywotna, przywrócona w literaturze XX wieku przez niektórych pisarzy anglosaskich (Eliot, Lowry), latynoskich (Borges) i polskich (Parnicki, J. M. Rymkiewicz). Ci pisarze współcześni, którzy tak wiele czerpią z literatur dawnych, chętnie posługują się techniką centonową.

Dr **B. Marczewska** w referacie **„Poetyka zbioru opowiadań"** zajęła się zagadnieniem interesującym i wartym poznania, bo literackie formy cykliczne rzadko budzą naukową refleksję, a jednocześnie stanowią jedno z najpoważniejszych zjawisk żywej praktyki literackiej i wydawniczej. Autorka omówiła najważniejsze problemy, jakie napotyka teoria literatury przy próbie określenia genologicznego charakteru zbioru opowiadań.

Doc. dr **J. Święch** w referacie **„Genologiczne problemy poezji okupacyjnej"** zaakcentował szczególną sytuację poezji tego okresu, którą wpłynęła na jej stosunek do norm gatunkowych. W ówczesnej krytyce i praktyce poetyckiej bądź wyrażano wprost negatywny do nich stosunek, bądź też ich działanie ograniczała forma utworów, które były zastępczą formą manifestacji publicystycznej.

Mgr **S. Orlicki** w referacie **„Próba typologii eseju"** za punkt wyjścia przyjął bujny rozwój tego gatunku w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat w literaturze europejskiej i amerykańskiej. Autor przeprowadził próbę typologii eseju, by bliżej określić cechy tego gatunku.

Podobnie jak w filmoznawstwie, także w teatrologii istnieją kłopoty genologiczne w związku z rozwojem teatru XX-wiecznego. Problemy powstają też czasem na skutek tego, że wychodząc od wielotworzywowego rozumienia tej sztuki teoretycy próbują określić niektóre jej formy, dotychczas nie określone.

Dr **S. Świontek** w referacie pt. **„Teatr w teatrze: chwyt czy gatunek?"** związał omawiany problem nie tylko z Szekspirem, z którym przede wszystkim on się kojarzy, ale z mniej znanymi dramatami francuskimi. Referat został oparty na materiale historycznym, ale problem genologiczny powstał współcześnie: teatr w teatrze nie mieści się w tradycyjnej genologii. Narzuca on szczególną sytuację percepcji sztuki, którą można określić jako odbiór odbioru. Autor zauważył również, że teatr w teatrze budzi świadomość rodzajową. Zawsze jest to świadomość teatralna, nawet wtedy, gdy tekst dramatu jest czytany.

Mgr **B. Nowakowska** w referacie **„Przemiany gatunkowe we współczesnym dramacie"** stwierdziła, że przemiany w dramacie XX-wiecznym, opozycyjnym w stosunku do konwencji realizmu XIX wieku prowadzą do postawienia pytania, czy przemiany sztuki teatralnej doprowadziły do powstania nowego gatunku.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

18 GRUDNIA 1975 ROKU już w kioskach świąteczny numer **„ODGŁOSÓW"**. A w nim:

– komentarze naszych sprawozdawców z obrad VII Zjazdu PZPR,
– **ŁODZIANIE – 75** – tradycyjny plebiscyt Czytelników,
– relacja **Konrada Frejdlicha** z fabryki „małych fiatów",
– **„RADZIWIŁŁ I KOWALSKI"** – studium porównawcze **Wiesława Jażdżyńskiego**,
RESTAURACJA „OJCZYZNA" – fragment powieści **Dusana Kalicia** „Brzeg bez słońca",
– fragment opowiadania **Andrzeja Makowieckiego** pt. **„PAMIĘTNIK ROMANA HYRNEGO"**,
– **„PIŁKARSKICH OBRACHUNKÓW CIĄG DALSZY"** – dyskusja o piłce nożnej z udziałem **Kazimierza Górskiego**,
– omówienie jednego z rozdziałów książki **Ericha von Dänikena „ZŁOTO BOGÓW"**,
– **„FAETON – PIĄTA PLANETA?"** – zagadka naszego Układu Słonecznego,
– **„DETREOMYCYNÓWKA" Ryszarda Binkowskiego** – reportaż z hodowli ryb,
– **SPOWIEDŹ „TARANA"** – wyznania amerykańskiego zawodowego mordercy,
oraz wiele innych atrakcyjnych i ciekawych pozycji.

TELEWIZJA

CZWARTEK, 11. XII. — program I:
10.00 — Powtórzony zostanie Dziennik z 10. XII. br. (z myślą o widzach, którzy nie oglądali go w środę).
18.15 — „SPOTKANIA W DRODZE", a w nich — fragmenty najciekawszych reportaży, wybrane z kilkunastu programów tego cyklu. Na antenę — opracował Józef Błachnowicz. Kolor.
20.20 — Premierowe widowisko Teatru Sensacji pt. „ARSZENIK I STARE KORONKI" w reżyserii Macieja Englerta.
Program II:
18.00 — W TV serii „NAJWAŻNIEJSZY DZIEŃ ŻYCIA" — projekcja filmu Andrzeja Konica pt. „GĄSZCZ".
21.20 — „TE SAME MIEJSCA — INNE SPRAWY" — cykl TV publicystyki kulturalnej
PIĄTEK, 12. XII. — program I:
15.25 — Początek bezpośredniej transmisji z obrad VII Zjazdu PZPR, kolor (również w programie II).
Program II:
Radzimy zwrócić uwagę na trzy programy publicystyki kulturalnej w cyklu: „TE SAME MIEJSCA — INNE SPRAWY:
17.45 — „WOKÓŁ PORTU PÓŁNOCNEGO" — Macieja Piekarskiego.
20.35 — „BYĆ RAZEM, BYĆ W TEATRZE" — Barbary Pietkiewicz
SOBOTA, 13. XII. — program I:
18.05 — Dokument filmowy Piotra Hinza i Michała Dąbrowskiego pt. „RAFINERIA" przedstawia losy i kariery Polaków lat siedemdziesiątych.
20.35 — TV Teatr Komedii wystawi włoską komedię obyczajową „ZAWODOWY GOŚĆ" której akcja dzieje się współcześnie w Neapolu.
21.40 — W cyklu filmów rozrywkowych „RÓŻE MONTREUX" obejrzymy „GODZINĘ Z JULIE ANDREWS".
Program II:
20.35 — Naczelna Redakcja Publicystyki Kulturalnej zaprasza na „GODZINĘ TADEUSZA HOŁUJA".
21.55 — „KTOŚ CZYHA NA MOJE ŻYCIE" — to tytuł filmowego studium psychologicznego, w reżyserii czeskiego twórcy — Jiri Sequensa.
NIEDZIELA, 14. XII. — program I:
13.50 — W ciekawym cyklu filmowym „PASJA-PRZYGODA-RYZYKO" — program R. Badowskiego „DROGI I BEZDROŻA PERU".
15.05 — „ACH TEN ŁOBUZ" — to zabawna komedia francusko-włoska z udziałem słynnego TOTO.
16.50 — W „OPEROWYM QUI PRO QUO" wystąpią: Andrzej Hiolski, Teresa Wojtaszek-Kubiak i Ludwik Sempoliński.
21.50 — „KSIĄŻĘ UŁOMNY" — tak zatytułował swój inscenizowany program autorski Jeremi Przybora, autor scenariusza i reżyser tej oryginalnej opowieści o nieszczęśliwych miłościach księcia. W roli tytułowej — Wojciech Pokora.
Program II:
17.00 — „NIKT NIE ZNA LONDYNU" — film angielski Normana Cohena, oparty na książce Geoffrego Fletchera. Kolor. Projekcja w cyklu dokumentalnym „CZAS I LUDZIE".
PONIEDZIAŁEK, 15. XII. —
Program I:
20.20 — Na reprezentacyjnej scenie Teatru TV obejrzymy premierę widowiska, opartego na romantycznym dramacie Juliusza Słowackiego, „HORSZTYŃSKI".
Program II:
17.15 — Telewizja Polska zaprezentuje po raz pierwszy „DZIEŃ BELGIJSKI" (z przerwą na „Dobranoc" i DTV)
WTOREK, 16. XII. — program I:
17.00 — W cyklu publicystyki społecznej „ZNAKI CZASU" — program pt. „PŁOCK — LABORATORIUM PRZEMIAN SPOŁECZNYCH".
20.25 — Nowy serial TVP „DYREKTORZY" w reżyserii Zbigniewa Chmielowskiego.
22.55 — W cyklu muzycznym „OPERA", upowszechniającym najcenniejsze dzieła operowe świata, obejrzymy VI odc. pt. „ROMANTYCZNE SPORY"
Program II:
21.55 — Klub Filmowy przedstawi włoski dramat wojenny Filipe Ratti pt. „DZIESIĘCIU WŁOCHÓW ZA JEDNEGO NIEMCA".
ŚRODA, 17. XII. — program I:
18.10 — Dla melomanów „LISZT BEZ AUREOLI".
20.20 — Projekcja II odc. serialu TVP „DYREKTORZY" pt. „BOKSER" z Janem Nowickim.
Program II:
20.20 — „FANTAZJE JAZZOWE" Na III program złożą się występy zespołu jazzowego „Laboratorium", łączone z recytacją wierszy, korespondujących z muzyką jazzową.

WIERSZYKOPISANIE

W telewizji trwa pogoń za pomysłami. Hasło „Mam pomysł", które stało się zresztą tytułem jednego z programów, spędza zapewne sen z oczu telewizyjnych redaktorów. Postulat atrakcyjności rządzący telewizyjną inwencją zdaje się całkowicie zagłuszać troskę o wartości istotne. Mania pomysłowości ogarnęła szczególnie Redakcję Publicystyki Kulturalnej, która w trosce o maksymalnie atrakcyjny kształt swoich programów najchętniej zamieniłaby ich przedmiot, czyli sprawy kultury, w rozkoszną zabawę, w serię zgadywanek, rebusów, krzyżówek, rymowanek etc. Barometrem umysłowego kryzysu tej Redakcji jest „Pegaz", który ostatnio zaniżył swoje loty, stając się firmową mieszanką kulturalnych aktualności.

Najświeższym pomysłem zrodzonym w głowach dowcipnych redaktorów jest program bezpretensjonalnie zatytułowany „Rymowanka". Przepis na „Rymowankę" jest prosty: bierze się trzech poetów, koniecznie młodych, prawie nieznanych, najlepiej tuż po debiucie, następnie dwóch konferansjerów, z których jeden może być aktorem, a drugi krytykiem literackim oraz kilkanaście zadań dla poetów, jak np. ułożyć wierszyk na urodziny lub do fragmentu muzyki czy filmu itp.

O co tu chodzi? „Chodzi nam o zapoznanie ludzi z procesem powstawania wiersza, uzmysłowienie, że wbrew pozorom nie wystarczy umieć dopasować do siebie kilku słów „żeby było do rymu", że po to by być poetą trzeba talentu i rzemieślniczej sprawności" — wyjaśnia cel programu jego autor w RTV". I tu zaczyna się głupi absurd, ponieważ całość tego miernego dowcipu, jakim jest „Rymowanka" może od biedy uratować założenie, że mamy do czynienia z inicjatywą rozrywkową, natomiast robienie mądrej miny do kiepskiej gry, czyli wmawianie, że jest to program o charakterze poznawczym i to subtelnie poznawczym, to typowe robienie ludziom wody z mózgu. Obawiam się jednak, że program ten jest odbierany przez większość audytorium nie tylko w formie zabawy, lecz również jako próba prezentacji poetyckiego tworzenia, a stąd już bardzo blisko do powszechnego przekonania, że poezja to właśnie zabawa. W taki oto klasyczny sposób telewizja sprawy poważne potrafi unieważnić, ośmieszyć i zdegradować, czyli zamienić w umysłową papkę. Dzieci niej w kraju, gdzie najpopularniejszym poetą jest Ludwik Jerzy Kern sztuka poetycka zaczyna kojarzyć się z wierszykopisaniem, a poeta zostaje sprowadzony do roli wierszoklety od sloganów reklamowych.

Cała sprawa ma również drugie dno. Myślę o poetach, którzy dali się do tej błazenady nakłonić. Wypadnie mi w tym miejscu powrócić do mojego już niebezpiecznie ulubionego wątku, jaki pojawił się z okazji sporu o Niemena. Poezja współczesna cierpi na kompleks hermetyzmu i elitarności — i jest to stwierdzenie tyleż banalne, co prawdziwe. Telewizja nie może stworzyć tej poezji istotnej szansy popularyzacji, ponieważ nie wypracowała nadających się do tego celu technik przekazu, a jeśli nawet bardzo rzadko to się jej udaje, to czyni to nader niechętnie. Może natomiast stworzyć poetom szansę popularności, tak właśnie jak stworzyła popularność dwóm swoim „poetom dyżurnym", czyli Ernestowi Bryllowi i Stanisławowi Grochowiakowi. Nic zatem dziwnego, że zasada zdradliwego uroku TV działa. Młodzi poeci współcześni, w których postawę wobec rzeczywistości jest wpisany niejednokrotnie bunt przeciw ubezwłasnowolnieniu przez kulturę masową pozwalają manipulować sobą w celach rozrywkowych, których istotnym sensem jest degradacja zasad i znaczenia poetyckiej twórczości i wdzięczni za to dają się traktować prowadzącym program z protekcjonalną wyższością i lekceważeniem. Jednym słowem — zostają „upupieni" jakby powiedział Gombrowicz, który zresztą poetów serdecznie nie znosił.

W tej sytuacji, kiedy został uczyniony pierwszy krok na ciernistej drodze zbliżenia sztuki do szerokich rzesz naszego społeczeństwa za „Rymowanką" powinny pójść inne programy poświęcone komponowaniu, malowaniu, rzeźbieniu... Panowie, ja rzucam pomysł, a Wy go łapcie!

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny) WIESŁAW JAŻDŻYNSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYNSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, BERNARD SZTAJNERT.

KULTURA

W ostatnich trzech latach granice Polski i NRD przekroczyło w obydwie strony ponad 40 milionów osób. Granice!? Aż się ma ochotę wziąć to słowo w cudzysłów. W nocnym pociągu Warszawa-Berlin człowiek zdąży otworzyć jedno oko i już jest po formalnościach celnych. Tak więc świadom faktu, jakim jest masowy ruch przez Odrę i Nysę, daruję Czytelnikom wszelkie impresje turystyczno-krajoznawcze. Pojechałem na spotkania autorskie zaproszony przez Ośrodek Informacji i Kultury Polskiej w Berlinie, a w sensie dziennikarskim interesowała mnie jedna sprawa: obecność naszej kultury w bratnim kraju.

JERZY WAWRZAK

BERLIŃSKIE SPOTKANIA

1.

Ośrodek Informacji i Kultury mieści się przy ulicy Liebknechta, tuż obok Alexanderplatz, a więc w samym centrum Berlina. Ta korzystna lokalizacja ma swoje znaczenie. Cały obiekt jest urządzony i wyposażony elegancko i nowocześnie. Przeszklony parter zajmuje salon wystawienniczy, na piętrze obok pomieszczeń biurowych, znajduje się biblioteka (13 tys. woluminów) kierowana przez **Marię Leszową**, czytelnia, duża funkcjonalna sala widowiskowa, gdzie można wyświetlać filmy, urządzać koncerty, większe spotkania z publicznością. W Ośrodku pracuje niewiele osób, ale nietrudno się zorientować po kilku dniach pobytu, że są to ludzie o wysokich kwalifikacjach, doświadczeni, zaradni i sercem oddani swojej pracy. Pracy, dodajmy, niełatwej, bo nie zawsze wymiernej i która nie wiadomo czasami gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. Jedno jest pewne: przynosi satysfakcję. W sumie można powiedzieć, że ludzie, warunki plus żywe zainteresowanie naszą kulturą, naszym krajem w ogóle — sprawia, że dzieją się tu stale rzeczy interesujące i pożyteczne. Pożyteczne dla kraju i NRD owskich przyjaciół.

Ośrodek istnieje od dawna, wkrótce będzie obchodzić 20-lecie działalności, ale warto podkreślić, że tak korzystne warunki ma dopiero od kilku lat. Przedtem mieścił się w czymś w rodzaju baraku, gdzieś na peryferiach miasta — co nam pewnie ani zaszczytu nie przynosiło, ani umożliwiało działalność na obecną skalę.

2.

Mówi **Jan Czajka**, dyrektor Ośrodka, który nie tylko pełni tu funkcje organizatorskie, ale podobnie jak jego zastępca **Stanisław Macieńko**, wygłaszają sporo odczytów na tematy kulturalne i gospodarcze: „Ośrodek prowadzi działalność informacyjno-propagandową, stosując w swej pracy różnorodne formy. Jako cel stawiamy sobie kształtowanie obrazu kraju jako państwa nowoczesnego, o wysokiej randze w świecie. Nasza placówka służy pogłębieniu przyjaźni między narodem Polski i NRD, lepszemu wzajemnemu poznaniu i zbliżeniu..."

I zaraz przechodzimy do konkretów, za trzy kwartały br. W tym czasie w samym Ośrodku zorganizowano **30 dużych wystaw, a w terenie 146** (w „terenie" tzn. w północnej części NRD, w południowej działa analogiczny ośrodek w Lipsku). Tematy: obok kultury, osiągnięcia nauki i gospodarki, cykl „Kobieta w Polsce", młodzież, prezentacje ważnych wydarzeń krajowych, znaczących rocznic. Frekwencja bardzo duża. Jedną z wystaw obejrzało w ciągu trzech tygodni prawie **20 tys. osób.**

Jeszcze większe zainteresowanie wzbudzają nasze filmy fabularne i dokumentalne. **400 projekcji obejrzało ponad 45 tys. widzów.** Dodajmy, że repertuar prawie na bieżąco pokrywa się z krajowym. Np. w drugiej dekadzie listopada wyświetlano „Doktora Judyma", a z końcem miesiąca zaplanowano pokaz „Nocy i dni". W Ośrodku wyświetla się też sporo filmów dla dzieci i młodzieży. W ogóle filmy spełniają tu również **funkcje dydaktyczne.** Pokazy w wersji oryginalnej, na przemian z tłumaczeniami lektorskimi, ogromnie ułatwiają naukę języka polskiego. Ośrodek też się tym zajmuje, od lat prowadzi kursy cieszące się dużym zainteresowaniem. **Obecnie uczęszcza prawie sto osób.**

Uzupełnieniem i poszerzeniem wspomnianej wyżej działalności są odczyty. W programach widzę nazwiska znanych polskich naukowców, wybitnych przedstawicieli świata kultury i sztuki. Aktywnie wspomagają tę akcję korespondenci naszej prasy akredytowani w Berlinie. O popularności tych imprez niech znów zaświadczą liczby: **140 odczytów w br. w których uczestniczyło ok. 10 tys. osób.**

3.

Ośrodek prowadzi również salon sprzedaży, oferując wyroby sztuki ludowej, różne drobiazgi dobre na prezenty i upiększenie każdego domu, książki, albumy, płyty i plakaty. Pierwszego dnia wychodziliśmy z Ośrodka rano, kwadrans przed dziesiątą. Ku swemu zdziwieniu zobaczyłem przed salonem dużą kolejkę, chyba ze czterdzieści osób, ludzi starszych, młodzieży, żołnierzy. Dopiero później dowiedziałem się, już bez zdziwienia, że codziennie zagląda tutaj **ok. 5 tys. berlińczyków**, którym widocznie nasi handlowcy trafiają w gusty. Oczywiście nie chodzi tu o jakiś wielki handel, towar też jest specyficzny, chociaż nikogo już nie szokuje twierdzenie, że kultura jest

Fot. Archiwum

także towarem, a ostatnio coraz częściej nawet ofertą eksportową. Np. w br. sklep **sprzedał 160 tys. płyt** — muzyki rozrywkowej, ale też i w przyzwoitej proporcji muzyki „poważnej". Duże jest także zainteresowanie polskim plakatem, co nawet trochę dziwi. W ciągu trzech kwartałów sprzedano **15 tys. sztuk plakatów**, a cztery marki, co wcale nie jest tanio.

4.

W programie pobytu gościnni gospodarze przewidzieli spotkanie z młodym pisarzem **Joachimem Waltherem.** Nie ma ono jednak cienia oficjalności. Joachim przyjmuje mnie z żoną w swoim gustownie urządzonym, zdradzającym artystyczną profesję właściciela, mieszkaniu, w odległej od centrum, ale spokojnej dzielnicy Pankow. Od początku wytwarza się swobodny, koleżeński nastrój i cały czas towarzyszy długiej, szczerej rozmowie o literaturze, sztuce, polityce. Joachim był ostatnio w Polsce przez prawie pół roku, w ramach wymiany między związkami pisarzy, i orientuje się dobrze w naszych sprawach. Musi mi więc z konieczności więcej tłumaczyć czym żyje tutejsze środowisko literackie. Udaje mi się też uzyskać informacje na temat gospodarza.

Debiutował w 1970 r. powieścią „Sześć dni Sylwestra", w dwa lata później opublikował następną powieść „Między dwiema nocami", wydał jeszcze opowiadania „Po prostu nie jestem yogą" i „Podręcznik uwodziciela" oraz książkę publicystyczną „Rozmowy z kolegami" (m. in. zawierający wypowiedzi Christy Wolf i Güntera Kunerta). Jest także autorem słuchowiska radiowego „Zawał serca" i scenariusza filmowego, który czeka na realizację. A więc dorobek kilku zaledwie lat duży, świadczący o szerokich zainteresowaniach autora i ambicjach. Podejmując tematykę współczesną Joachim Walther, tworzy swój świat na zasadach ponadczasowego uogólnienia. (Przy okazji: zazdrośnie oglądałem jego książki: znakomicie wydane, płócienne oprawy, obwoluty, świetny papier, duże nakłady. Kiedyż to nasi młodzi autorzy doczekają się takich luksusów?) Jest człowiekiem sympatycznym i skromnym, rzuca się w oczy jego pracowitość i dociekliwość. Ukończył germanistykę i jest lektorem wydawnictwa w którym etatowo pracuje, a społecznie udziela się w związku pisarzy, jeździ na spotkania autorskie, zwiedza świat, ostatnio ma zaproszenie do uniwersytetu w Oslo.. Dłuższy pobyt w Polsce uważa za cenne doświadczenie, również literackie. Napisał cykl miniatur o Polsce, które będą drukowane w „Literaturze na Świecie". Przy okazji wziąłem opowiadanie dla „Odgłosów", które opublikujemy w styczniu 1976 r.). Na najbliższy urlop wraz z żoną Ulrike, dziennikarka z „Der Morgen", wybiera się do Polski. Mają u nas licznych przyjaciół. W Łodzi także...

5.

Wizyta w naszej Ambasadzie na Unter der Linden. Przyjmuje mnie **radca Henryk Stępień, tow. Krzysztof Jabłoński, pierwszy sekretarz Józef Kotlorz.** Tutaj mam okazję zapoznać się szerzej z programowaniem naszej obecności kulturalnej w NRD. (Oddzielny problem to np. wymiana kulturalna między zaprzyjaźnionymi miastami i województwem PRL i NRD). Wygląda to naprawdę imponująco, ale nie dziwię się bo ludzie odpowiedzialni za te sprawy to energiczni, młodzi fachowcy (mówi zawsze, że to ZMP-owskie pokolenie!) orientujący się jednakowo dobrze w tutejszej i krajowej sytuacji. Nie ukrywają jednak, że mimo osiągnięć tę działalność informacyjno-kulturalną można by jeszcze bardziej zintensyfikować, bo nie wszystkie odpowiedzialne placówki w kraju: centralne zjednoczenia, instytucje kulturalne zdają sobie sprawę z istniejących możliwości wejścia na NRD-owski rynek. A powinny. Ambasada i Ośrodek nie miałyby nic przeciwko większemu naciskowi krajowych ofert.

W efekcie, m. in. tej rozmowy, następnego dnia pierwszy sekretarz Ambasady „nagrywa" mi spotkanie z **Hansem Poliakiem**, redaktorem **„Wochenpost"**, tygodnika o ponad milionowym nakładzie. Pismo nie ma polskiego odpowiednika o tak szerokim profilu; odnoszę wrażenie że jest w nim miejsce na wszystko, ale widać taka formuła odpowiada czytelnikom. (Nakład!) Red. Poliak magluje mnie ze dwie godziny. Mówiłem o sprawach nam tu w Łodzi powszechnie znanych, o łódzkiej kulturze, o dynamicznych przemianach w przemyśle i krajobrazie miasta, o inicjatywach naszych środowisk twórczych i upowszechnianiu kultury w ramach „Sojuszu ze światem pracy". Nie dało się chyba ukryć, że miałem satysfakcję mówiąc to wszystko. Pięć lat wcześniej taka rozmowa byłaby niemożliwa, musiałbym świecić oczami i zbywać ogólnikami. Teraz wystarczały fakty, tylko fakty.

6.

Spotkanie w Ośrodku z tłumaczami, wydawcami, dziennikarzami i „zwykłymi miłośnikami polskiej literatury i sztuki, stałymi jak się wydaje bywalcami organizowanych tu imprez. Spotkanie o charakterze kameralnym, ale w gronie ludzi naprawdę zainteresowanych. Nic tu nie dzieje się na pokaz, nie organizuje się „frekwencji", jak to czasami u nas dzieje się ze spotkaniami autorskimi w różnych placówkach. To nawet pewna zasada działalności Ośrodka, tłumaczą mi dyrektorzy Czajka i Macienko, żeby ściągać tu ludzi, którzy mają możliwości dalej przekazywać, popularyzować i konkretnie pomóc w upowszechnieniu imprez, które w Ośrodku się inauguruje. Są to więc działacze związkowi, kulturalni, dziennikarze, przedstawiciele środowisk artystycznych.

Od lat jeżdżę na spotkania autorskie i trudno mówić o tremie towarzyszącej każdemu wystąpieniu. Ale za granicą? Człowiek mówi we własnym imieniu, ale jak się uwolnić od niepokoju „reprezentanta"? Na to zawsze wychodzi, że to nie tylko prywatna impreza. Na szczęście prawie wszyscy znają język polski, co załatwia połowę sprawy. Z drugą też nie jest najgorzej, bo wyczuwam życzliwe zainteresowanie, a rozmowa kończy się w całkiem swobodnym nastroju.

Po oficjalnej części sympatyczna rozmowa z **Henrykiem Bereską.** To znakomity tłumacz naszej literatury na niemiecki, człowiek wielce zasłużony dla kultury polskiej. (Chyba za mało u nas popularyzowany!) Co na warsztacie, panie Henryku? „Wesele" Wyspiańskiego wzdycha tylko Bereska, pogodnie użalając się nad swoim losem. Tak, tak, taki to już los ambitnych tłumaczy.

7.

Wałęsamy się z żoną po Berlinie, już „prywatnie". Zaliczamy co się da z przewodnikiem w ręku. Muzea (w tym jedynym w swoim rodzaju na świecie imponujący **Pergamon**) wystawy, nowe dzielnice, magazyny, sklepy, a ostatniego dnia wieczorem uruchomiono akurat na święta wesołe miasteczko. Pogoda pieska, ale jakoś się tego nie odczuwa. Koniec listopada, ale to naszych rodaków nie zniechęca. Co krok napotykamy autokary z rejestracją z całej Polski. Zabłądzić nie sposób, jak w Warszawie pałac, tak tutaj wieża telewizyjna wyznacza środek miasta. Szkoda, że zła widoczność uniemożliwia wjazd na górę i zjedzenie obiadu i podziwianie „obracającej" się panoramy w dole. Trafić też wszędzie łatwo i szybko. Kolejka elektryczna S-bahn i metro naziemne i podziemne U-bahn to wielka wygoda dla mieszkańców i tysięcznych rzesz nie zorganizowanych turystów. Nie ma też problemu z miejscem w restauracji czy kawiarni, można zjeść wytwornie i drogo w Hotel Stadt Berlin (coś w rodzaju naszego „Forum") i nie mniej smacznie a tanio w restauracyjkach serwujących brojlery czy ryby, a nawet parówkę w ulicznym kiosku z czego wielu zabieganych ludzi korzysta. Ale.. nie miała to być relacja turystyczna. Powiedzmy tylko, że się tu ludziom łatwiej żyje niż u nas, ale robimy wszystko żeby naszych przyjaciół jak najszybciej dogonić. I każdy z wojażujących za zachodnią miedzę może potwierdzić, że na wielu odcinkach ten dystans już się zmniejszył.

Tak czy inaczej do Berlina, do NRD, trzeba zaglądać, nie tylko dla miejscowych atrakcji, ale i dla refleksji, z której dla każdego coś sensownego wynika.

NIE TYLKO HISTORIA

W SPRAWIE AKTYWIZMU

Spóźniam się z tym felietonem, bowiem numer 10/75 „Nowych Dróg" zniknął już z kiosków. Sądzę jednak że sprawa jest na tyle ważna, że można o niej mówić nie tylko w październiku, ale także i później Zwłaszcza że dyskusja wciąż trwa i daleko jej do końca, dyskusja o podstawowych problemach teoretycznych marksizmu — leninizmu sprowokowana przez wydaną jeszcze w 1973 r. pod redakcją **Jerzego Kmity** pracę zbiorową **„Elementy marksistowskiej metodologii humanistyki"**, zawierającą prezentację poglądów metodologów z poznańskiego ośrodka naukowego.

Dyskusja rozpoczęła się na łamach **„Studiów Filozoficznych"**, od numeru 1/75 toczy się ona w **„Nowych Drogach"**, gdzie ogłoszono krytyczne wypowiedzi **Zdzisława Cackowskiego** oraz **Bronisława Minca.** Teraz, w numerze 10/75 trzej spośród współautorów wspomnianej tu książki, mianowicie **Jerzy Kmita** i **Leszek Nowak**, filozofowie, oraz **Jerzy Topolski** historyk, prezentują swoje oglądy w zwartym artykule **„O nieuprawnionych alternatywach".** Nie idzie im o „łapanie" krytyków za słowo, o wytykanie, że w tej czy innej sprawie poglądy autorów zostały zrozumiane opacznie czy o coś podobnego. Chodzi o przedstawienie ogólnego stanowiska, warunkującego poglądy szczegółowe. W związku z tym autorzy podkreślają, że **„jedną z podstawowych funkcji filozofii marksistowskiej** (jeśli nie funkcją główną) **jest udzielanie odpowiedzi na pytania, wysuwane przez współczesność, zwłaszcza — przez współczesny rozwój nauki"**, a wymaga to **„stałego poszerzania dotychczasowego stanu posiadania marksizmu".**

W tej sprawie możliwe są dwie zasadniczo odmienne postawy: pierwsza, to rozumienie filozofii marksistowskiej jako zwartego systemu, zdolnego funkcjonować współcześnie **„w sposób bez porównania efektywniejszy od systemów konkurencyjnych"**, wszakże pod warunkiem, że nada mu się postać optymalnie dostosowaną do formułowania i rozwiązywania problemów współczesnych oraz druga, polegająca na **„ślepym przywiązaniu do litery".** Nie trzeba objaśniać, że autorzy opowiadają się za pierwszą z wyróżnionych postaw i podkreślają, że druga prowadzi nieuchronnie do eklektycznych deformacji, do **„fałszywych alternatyw"**, proponując dokładniejsze przypatrzenie się niektórym z nich. Odsyłając zainteresowanych Czytelników do lektury tego artykułu, zatrzymam się tu nad jednym tylko problemem, poruszonym przez autorów, mianowicie zagadnieniem aktywistycznej interpretacji dziejów, mającym zasadnicze znaczenie dla myślenia historycznego.

Termin zawdzięczamy **J. Topolskiemu:** wprowadził on go przed laty w rozprawie, drukowanej w **„Studiach Filozoficznych"** (1972), włączonej w nowej redakcji do **„Elementów marksistowskiej metodologii humanistyki"** Chodzi tu o rozumienie dziejów: jak podkreślają autorzy artykułu z **„Nowych Dróg"**, często spotykana w badaniach nad społeczeństwem alternatywa: **„fatalizm — woluntaryzm"** posiada w marksizmie swą **„rzeczywistą opozycję"** przeciwstawną w stosunku do obu jej elementów, w postaci oryginalnego stanowiska, określanego jako **„marksistowski aktywizm, jak można by określić ujęcie przez Lenina roli czynnika subiektywnego w historii".**

„Nie jest to koncepcja, stojąca gdzieś w pół drogi między fatalizmem (tzn. jednoznaczną determinacją działań ludzkich, a więc i procesu historycznego przez czynniki, na które człowiek nie ma wpływu) **i woluntaryzmem** (tzn. stanowiskiem przypisującym subiektywnie i autonomicznie pojmowanym działaniom ludzkim rolę „tworzenia historii"). **Jest to całkiem odmienny i konsekwenty, wyższy jakościowo, nie potrzebujący oparcia w tezach stojących „zewnątrz" marksizmu punkt widzenia".**

Autorzy omawianego artykułu, prezentując pokrótce, o odwołaniu do tekstów K. Marksa, F. Engelsa i W. i Lenina, zasadniczą treść aktywizmu podkreślają, że dostarcza on takiej interpretacji tezy autora „Kapitału" o tym, że człowiek jest twórcą historii, której jednak nie tworzy dowolnie, **„która jest przeciwstawna zarówno fatalistycznemu jak i woluntarystycznemu ujmowaniu działań ludzkich i procesu historycznego"** W zwięzłych rozważaniach metodologicznych zabrakło oczywiście miejsca na szerszą egzemplifikację nieaktywistycznego i aktywistycznego interpretowania dziejów, jakiej dostarczyłaby z łatwością historiografia, pozostająca w kręgu oddziaływania marksizmu, z wielu krajów oraz wypowiedzi uczonych, starających się objaśnić całokształt systemu marksistowskiego materializmu historycznego. Takie wejrzenie w praktykę dziejopisarską dostarczyłoby dodatkowych argumentów, uzasadniających tezę autorów artykułu o niezwykłym znaczeniu zagadnienia, które niekiedy się niesłusznie bagatelizuje.

Warto również w kontekście dyskusji o aktywizmie przypomnieć dawno wypowiedziane słowa polskiego socjologa, Stanisława Ossowskiego, który przed wieloma już laty pisał:

„Rzeczywistość społeczna nie znajduje się poza sferą myślenia o rzeczywistości. Marksowska teoria o istocie i roli dziejowej proletariatu jest pod tym względem jednym z najefektowniejszych przykładów. Wbrew ciasnym interpretacjom tezy Marksa, że byt warunkuje świadomość, teoria ta w potężny sposób przyczyniła się do ukształtowania się nowoczesnego proletariatu jako świadomej klasy społecznej. Nie wiemy, czym byłby dzisiaj proletariat fabryczny, gdyby teoria owa nie nauczyła robotnika patrzeć na siebie i na swych towarzyszy w pewien specyficzny sposób".

LEKTOR

LITERATURA

TADEUSZ GICGIER

TADEUSZ GICGIER zadebiutował jako poeta w antologii **„Różnie idąc"**, wydanej w roku 1948 przez Koło Polonistów Uniwersytetu Łódzkiego. Uprawia kilka gatunków literackich: poezję, prozę, satyrę, reportaż. Dotychczas wydał osiem książek, w tym cztery zbiory wierszy (**„Garść ziemi"** – 1957, **„Wyjmij mnie z czasu"** – 1961, **„Zimowy owoc"** – 1968, **„Ziemia Białostocka i inne wiersze"** – 1971), dwa zbiory satyr i fraszek (**„Moje boje"** – 1963, **„Szkiełko i oko"** – 1971), tom opowiadań i szkiców prozą (**„Gorzkie wody"** – 1967) oraz zbiór reportaży z Ziemi Łódzkiej (**„Zaczęło się od legendy"** – 1968).

Obecnie Tadeusz Gicgier przygotowuje do druku następne książki, a więc zbiór reportaży literackich pt. **„O człowieku, któremu wystarczał ogarek"**, zbiór satyr prozą pt. **„Opowiastki współczesne"**, wybór fraszek i aforyzmów pt. **„Kiedy się mówi A"** oraz nowy tom wierszy pt. **„Korzenie"**.

Od roku 1953 Tadeusz Gicgier związany jest z radiem i dał się poznać jako autor audycji poetyckich i satyrycznych, a także magazynów literackich i dźwiękowych reportaży. W latach 1968–1974 mieszkał w Białymstoku i kierował redakcją literacką tamtejszej rozgłośni. Witając jego powrót do Łodzi, przedstawiamy Czytelnikom kolumnę „rozmaitości literackich" Tadeusza Gicgiera.

Z NOTESU

★

Kiedy już posiadł umiejętność wypowiadania swych myśli, zrozumiał, że lepiej ich nie wypowiadać.

★

Być tchórzem i zajmować odpowiedzialne stanowisko, to dowód niesłychanej odwagi.

★

Gdy cię biją, nawet niesłusznie, nie krzycz, wszelki hałas jest źle widziany.

★

Jest podwójnie bezkrytyczny: sam nie dostrzega swych błędów i nie pozwala, by dostrzegali je inni.

★

Efekciarstwo jest zaprzeczeniem efektu.

★

Niewierzący nie lubią, gdy im daje się prawdy do wierzenia.

★

Ten, który wie wszystko, powinien przynajmniej wiedzieć cokolwiek.

★

Dba o naturalne środowisko, lecz niszczy człowieko

★

Jest już tak postępowy, że aż wsteczny.

★

Kto obliczy zło wyrządzone z dobroci?

★

Miłość jest ślepa, dlatego lubi ciemności.

★

Ona była winna, ale kłamstwo było niewinne.

★

Jest bardzo subtelny: nigdy nie przekracza granicy nieprzyzwoitości.

★

Życie przypomina jazdę na kole: naraża nas na wstrząsy.

★

Jeśli się na czymś nie znasz, nie dziel się doświadczeniami.

★

Jedni mają talent, drudzy pretensję.

★

Zburzyć życie pomogą nam bliźni, ale zbudować musimy je sami.

SZKICE

TEATRY

Wyszedłem z lasu na otwartą przestrzeń, wśród pustych pól widniała tylko w oddali strzecha wiejskiej chałupy, ukrytej w kępie drzew. Nie ten jednak obraz zwrócił moją uwagę. Nad polami przesuwał się wolno łańcuch obłoków, wspaniała letnia dekoracja, dzieło anonimowego scenografa. Jedynym, ale za to wielkim aktorem tego niebieskiego theatrum był wiatr, który nadawał obłokom coraz to inne, ruchome, fantastyczne kształty.

Patrząc na tę przestrzenną grę obłoków i wiatru, zrozumiałem atawistyczne tęsknoty człowieka, którego osaczają w miastach ściany mieszkań, mury domów, ulice. Dlatego człowiek współczesny wznosi wielkie gmachy teatralne, buduje amfiteatry, kina panoramiczne, obrotowe sceny — wszystko po to, aby zastąpić teatr natury. Cokolwiek jednak wymyśli geniusz człowieka, będzie tylko lichą namiastką tego teatru.

NA ŁĄCE

Niedaleko od miejsca, gdzie siedziałem, poruszyła się lekko ziemia. Zacząłem bacznie się przypatrywać, ale panował tam spokój. Pomyślałem sobie, że mi się coś przywidziało, że to złudzenie, zrodzone z rozgrzanego, falującego powietrza. Wtedy coś drgnęło znowu. A potem, wśród napiętej ciszy, jakby pokonując trud ponad siły, wysunął się na powierzchnię ziemi kret. Zwrócony czerwonawą, ślepą mordką ku słońcu — znieruchomiał.

Teraz ja będę musiał przekopać się do lata.

ŚLAD

Zaczął padać deszcz i musiałem schronić się do lasu. Las był iglasty, chodziłem po nim dłuższą chwilę, nim znalazłem jakiś krzak leszczyny. Ale deszcz tylko kropił, więc zapuściłem się dalej w gęstwinę, zwabiły mnie tam uschnięte drzewa, których nagie, poskręcane gałęzie porośnięte były srebrnozielonym mchem. „Udają jeszcze życie" — pomyślałem, i szedłem dalej, szedłem to wzgórzem, to znów leśną kotliną, wciągnęła mnie gra świateł i cieni, ukazujące się i ginące niebo w konarach. Idąc za takim niebieskim przesmykiem, wyszedłem dokładnie w tym samym miejscu, z którego wyruszyłem w las.

Drzewa schodziły tu nad samo jezioro, gładkie i spokojne po deszczu, o wodzie jeszcze bardziej zielonej niż zwykle. Na brzegu skrawek zgniecionej trawy — puste miejsce, na którym leżałem przed godziną. Miejsce, z którego patrzyłem na las i wodę, i cieszyłem się lasem i wodą, słońcem i wiatrem, obłokami. Teraz na widok tego miejsca, zrozumiałem, że kiedy wsiądę wieczorem do pociągu, zostawię tu coś po sobie. Nie zgniecioną trawę, która do jutra się podniesie. Coś, co jest niewidoczne, a co wypełnia każdą przestrzeń, na którą nie patrzymy obojętnie.

DŻENTELMENI

Wypłynęli o zmierzchu żaglową łodzią w ośmioro: czterech chłopców i cztery dziewczyny. Na środku jeziora łódź wywróciła się do góry dnem. Chłopcy wciągnęli dziewczyny na nią, sami płynęli za łodzią.

Rycerze w kapokach. Gdy nad ranem dryfująca łódź dobiła do brzegu, okazało się, że ci poza łodzią są martwi.

Dżentelmeni na śmierć i życie. Na życie nie dla siebie.

TWARZ

Załatwiałem nocleg w domu turystycznym, nad jeziorem. Dziewczyna z administracji odebrała jakiś telefon i nagle pobladła. „To niemożliwe! To niemożliwe!" — powtarzała uparcie. Potem wybuchnęła płaczem.

— Proszę pana — mówiła do mnie — zginęli, wszyscy zginęli... Wypłynęli w rejs i znad morza przyszła taka straszna wiadomość. Parę dni temu odprowadzałam ich na dworzec, podrzucali mnie do góry, bardzo cieszyli się z tej wyprawy.

Telefon zadźwięczał znowu. Dziewczyna podniosła machinalnie słuchawkę, twarz jej się rozluźniła:

— Więc nie zginęli, a zaginęli?... I odnaleźli się?... Chwała Bogu! Chwała Bogu!

Wziąłem klucz od pokoju. Twarz dziewczyny szła za mną, nie ta odprężona, ta brzydka, skrzywiona w płaczu.

WSPÓLNOTA

Dwa zbite na krzyż patyki, ubrane w starą, podartą na łokciach koszulę. Pionowy patyk, zatknięty ukośnie w ziemię, tak, że całość przypomina do złudzenia pochylonego na klęczkach człowieka.

Kto tu w kogo się wcielił: twórca stracha na wróble w niego, czy on w swego twórcę? Za jakie winy ten strach pokutuje, czemu tak przejmująco jest zgięty ku ziemi?

ARGUMENT

Po drugiej stronie jeziora cypel wchodzący płasko w wodę. Żółta ławica piasku, nad nią wąski, grzebieniasty pas zieleni: nieruchomy aligator, strzegący spokoju tego cypla.

Nagła ochota: popłynąć tam, dotrzeć do tej ławicy, położyć się na piasku twarzą do słońca, zrzucić z siebie wszystko razem z ubraniem.

Nagłe zwątpienie: a może nie da się zrzucić wszystkiego?

Dobrze, że to taka duża odległość. Mam w ręku argument: nie dopłynę.

BRZOZY

Panu profesorowi
Andrzejowi Kalicińskiemu

Czarnym wąwozem zimy,
lasem przez przesiekę,
mróz skwierczy w igłach świerków,
świerki mroczne mrozem,
i nagle — jakby z ziemi
wzleciały gołębie:
to stadem białopiórym
unoszą się brzozy.

Kołem wokół mej głowy,
kołuje w mej głowie,
pory roku galopem —
czarnobiałe konie,
płótna lniane na łące,
przymrużenie powiek,
śniegi nad śniegi bielsze
i skrzydła bocianie.

1974

NOCNY NA ŁÓDŹ KALISKĄ

Pociąg przebija ciemność,
rytmiczny upór
drążący skałę nocy,
za którą
poranek mej młodości:
białe ławice piasku,
karłowate sosny,
iglasty szum zatrzymanego czasu.
Świeci Żubardź
jak ognik na bagnach,
ugory Kozin
palą się żółtym mleczem,
błyszczy mrowiskiem lamp
przydworcowy Karolew.
Miasto,
moje miasto odzyskiwane po latach,
może przez ból przedzierania się,
powrotu —
przybliżę się o krok do ciebie,
o jeden krok do prawdy o tobie.

1975

FRASZKI

BILANS

Dwadzieścia lat zajmował stanowisko
— i to wszystko.

STOJAK

„Stoję na straży!' — powiadał dumnie,
aż go spytali: „A co ob. umie?".

WIELU

Wielu wytycza drogi,
niewielu robi.

1:5

Natura nie znosi próżni,
więc kiedy upadnie klika
i miejsce swoje opróżni —
pięć innych na nie się wpycha.

POMOC KULTURALNA

Nie każdy idący z pomocą
wie, dokąd idzie i po co.

MOGĄ

I piękne usta
mogą pleść głupstwa.

KRYTERIUM

Kulturalne wydarzenie:
gdy sztukę na widowni gra się,
nie na scenie.

OFIARA

Złożył na sztuki ołtarzu
w spontanicznej potrzebie
ofiarę nie byle jaką:
siebie.

CO WAŻNIEJSZE

Jedni mówią: świat w poecię,
drudzy, że poeta w świecie,
a tych trzecich nie znajdziecie.

PODANIE RĘKI

„I niech wiersz, co ze strun się toczy,
Będzie, przybrawszy rytm i dźwięki
Tak jasny jak spojrzenie w oczy
I prosty jak podanie ręki".
(Leopold Staff — „Ars poetica")

Niestety, sprawa podania ręki nie jest tak prosta, jak tego chce poeta. Zdaniem czasopism medycznych, do których też warto czasem zajrzeć, podanie ręki jest bardziej szkodliwe i niebezpieczne niż... pocałunek. Przy pocałunku bowiem można jedynie zarazić się katarem, natomiast podanie czy raczej — przyjęcie ręki grozi całym szeregiem niebezpiecznych infekcji.

Żeby jednak tylko! Jak utrzymują parapsychologowie, których ostatnio wyniósł na powierzchnię — o ironio! — sceptycyzm cechujący współczesne życie intelektualne, za pośrednictwem podania ręki człowiek może przekazać człowiekowi nie tylko jakiś określony znak czy łapówkę, ale i określone fluidy, wpływać na jego umysł, nastawienie do drugich, na jego postępowanie. A ponieważ fluidy ludzi „złych" są silniejsze od fluidów ludzi „dobrych" (tak jak zło jest silniejsze od dobra) — w tym chyba, to znaczy w podawaniu ręki kryje się rozwiązanie zagadki, skąd u nas tylu wiarołomnych mężów i tyle niewiernych żon, tylu sprzedajnych ludzi na stanowiskach, tylu asekurantów, tchórzy, karierowiczów, dwulicowców.

Nie podawajmy więc ręki, zwłaszcza tym, o których wiemy, że są nosicielami określonych zarazków, to znaczy — fluidów. Chrońmy się przed infekcją! Jak utrzymują socjologowie, bakterie tego typu są o wiele groźniejsze w skutkach od równie pospolitych bakterii, z którymi jednak współczesna medycyna radzi sobie całkiem dobrze. Wprawdzie i jedne, i drugie bywają kuliste, cylindryczne, spiralne, o skręcie pojedynczym lub o kilku skrętach jednak te drugie powodują najczęściej rozkład substancji organicznych, a te pierwsze — rozkład życia społecznego. Trudno więc nazwać je dobroczynnymi, podczas gdy bakterie znane medycynie są wykorzystywane w przemyśle spożywczym, chemicznym, w produkcji antybiotyków, służą więc z pożytkiem ludzkości.

Oczywiście nasuwa się tu z miejsca wniosek, że warto by się pokusić o wynalezienie antybiotyków dla likwidacji drobnoustrojów społecznych, a raczej — aspołecznych. Taki wynalazca przysłużyłby się ludziom nie mniej od słynnego Fleminga, odkrywcy penicyliny. Póki co, jak mówią satyrycy, rolę tę mogłaby spełniać właśnie satyra, musiałaby mieć jednak większe, niż dotychczas, plenipotencje.

Reasumując: nie podawajmy każdemu z brzegu ręki, natomiast całujmy się przy powitaniu. Jest to już zresztą dosyć szeroko stosowane. Upowszechniajmy ten zwyczaj! Całujmy się, co nie oznacza zaraz: kochajmy się! Iluż to ludzi całuje się dzisiaj, choć jest to pocałunek Judasza.

DZIEWIĄTA GŁOWY NIE ZAPRZĄTA

Podszedłem z karafką do stryja, stryj droczył się chwilę, ale odwrócił kieliszek, który stał do góry dnem. Wróciłem na swoje miejsce, gwar wzmógł się, jedni przekrzykiwali drugich.

— Stoimy tak przed bramą fabryki, dwa pułki piechoty, po bokach ruscy oficerowie. A ta brać ruszyła hurmem w stronę bramy. Ja byłem chłop rosły, stałem pierwszy przy bramie, wszystko dobrze widziałem. Jeszcze teraz trzymam się prosto, niech pani patrzy...

Stryj stał nad stołem, zrobiło się nagle cicho.

— A ci idą i odpinają na piersiach kożuchy...

Stryj rozpiął samodziałową marynarkę, której obydwie klapy były gęsto upstrzone odznaczeniami.

— Nu, koli, brat! — krzyknął nad uchem swej sąsiadki.

Kiedy o piątej odezwał się dzwonek, wyszedłem z łazienki, nie wytarłszy nawet twarzy po goleniu. Wiedziałem, że to stryj dzwoni. Stał w drzwiach w swym zimowym, miejscami wytartym, pokrytym czarnym suknem kożuchu, w którym zdawał się być jeszcze wyższy i jeszcze bardziej kościsty. Przypominał mi zawsze w tym kożuchu dziadka, miał z nim zresztą wiele wspólnych cech zewnętrznych, natomiast wewnętrznie różnił się w sposób zasadniczy: dziadek był małomówny i mrukliwy, czego nie dałoby się powiedzieć o stryju. Nie wiem, co ich kiedyś poróżniło, dość, że na skutek tego antagonizmu poznaliśmy stryja dopiero po śmierci dziadka. Być może, że stryj odczuwał coś w rodzaju wyrzutów sumienia z powodu tamtych niesnasek rodzinnych, w każdym razie często odwiedzał teraz rodzinę dziadka, mnie zaś w szczególności. Przywykłem do was — mawiał. — Jak ktoś się przyuczy, to śpi i mruczy.

Wprowadziłem stryja do pokoju i włączyłem telewizor, proponując, by obejrzał sobie kawałek programu. Stryj chętnie przystał na tę propozycję, zaraz jednak, przekrzykując głos spikera, zaczął opowiadać o swym zegarku. Nie przeszkadzało mu przy tym wcale, że wróciłem do łazienki.

— Widzisz, to jest mój pierwszy zegarek w życiu. Dostałem go od ojca, gdy brali mnie do ruskiego wojska w dziewięćset czwartym. Miałem wtedy dwadzieścia lat...

Wychyliłem nos z łazienki, stryj trzymał w ręku grubą, poczerniałą „cebulę", mocnym naciśnięciem kciuka otworzył kopertę. Zobaczyłem pożółkłą tarczę zegarka z rzymskimi cyframi i ozdobnymi wskazówkami. Wróciłem do golenia.

— Mam go już sześćdziesiąt lat, a był dopiero raz u zegarmistrza. Dziś go odebrałem. I wiesz, co powiedział zegarmistrz? — Stryj zaśmiał się. — Że będzie mi teraz służył aż do śmierci...

Stryj siedział na swym honorowym miejscu pośrodku stołu. Przez biesiadny gwar dolatywały mnie strzępki jego opowieści, kierowanej do młodej, krągłej brunetki, która mogłaby być wnuczką stryja. Chyba ta właśnie świadomość pomagała stryjowi, że zawsze na powitanie całował ją siarczyście w oba policzki. Teraz opowiadał jej szeroko o nadzwyczajnym wyróżnieniu, jakie go spotyka w Domu Rencistów. Znałem dobrze tę opowieść, słyszałem ją już wiele razy. Kierownik Domu Rencistów kupuje każdego rana dwie gazety, jedną dla siebie, a drugą dla stryja. Tę drugą kładzie zawsze w jadalni na stoliku, przy którym siada stryjek.

— Wszyscy wytrzeszczają oczy, a on podchodzi i kładzie tę gazetę przede mną...

Ułożyliśmy stryja do snu w moim pokoju. Nie było rady, stryj zasypiał już na krześle, choć gwar przy stole mógłby obudzić umarłego. Kiwał się przy tym jak kozak drzemiący na koniu. Porównanie o tyle trafne, że podchodził kiedyś nocą kozaka. Było to w dziewięćset piątym, po powrocie stryja z Charkowa do Łodzi.

— Dziewiąta głowy nie zaprząta, jedenasta pora wychodzić do miasta — mruczał stryj pod nosem, gdy ubranego w piżamę prowadziłem go do tapczanu.

GALERIA

JANUSZ MENDYCHOWSKI
Fotoreportaż:

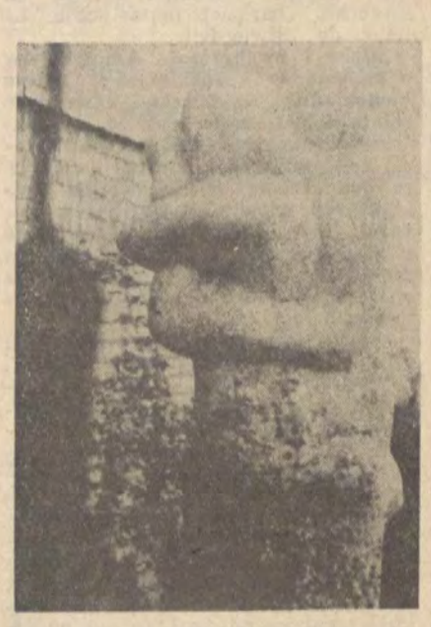

PROBLEMY

DLACZEGO POWINNIŚMY LUBIĆ LUDZI DOBREJ ROBOTY?

Pytanie zawarte w tytule: **DLACZEGO POWINNIŚMY LUBIĆ LUDZI DOBREJ ROBOTY?** sformułowane jest trochę w sposób przekorny. O „lubienie" powinno tu chodzić, czy raczej o szacunek, uznanie i poważanie? Rzymianie już przecież przestrzegali, że o gustach nie należy dyskutować. A „lubienie" wiele wspólnego ma z gustami. Jeden lubi róże, a inny ich nie znosi. Jeden lubi filmy kryminalne, a inny przepada za komediami. Jeden lubi muzykę poważną, inny — rozrywkową. Skąd więc „lubienie" do spraw tak poważnych jak dobra praca? Czy tylko z przekory?

Nie tylko. Przede wszystkim z chęci zaatakowania stereotypów myślowych, zwrócenia uwagi na to, co dla przyszłości kraju najważniejsze, na sprawy twórczej pracy, twórczego stosunku do otaczającej nas rzeczywistości.

Używamy wielu pojęć nie zastanawiając się zupełnie, że dziś składa się na nie inna zupełnie treść niż dawniej, kiedy te pojęcia powstawały. Mówimy na przykład: doker, nie pamiętając zupełnie, że dziś dokerzy nie noszą skrzyń na plecach, a obsługują maszyny. Coraz rzadziej używamy pojęcia: chłop, gdyż zawiera ono zabarwienie negatywne, a coraz częściej mówimy rolnik. Pochodzenie można jeszcze mieć chłopskie, ale na wsi coraz więcej jest rolników, gdyż w tym pojęciu zawiera się uznanie dla ludzi, którzy potrafią w swojej pracy wykorzystywać wiedzę agrarną. Również pojęcie: robotnik staramy się wartościować. Mówimy: robotnik niewykwalifikowany, robotnik wykwalifikowany, robotnik wysoko wykwalifikowany.

Dokonujące się nieustannie w kraju przeobrażenia społeczne rozsadzają stare pojęcia, ale na ich miejsce nie zjawiają się nowe. Musimy więc posługiwać się takim zasobem pojęć, jaki posiadamy, ale powinniśmy przynajmniej zdawać sobie sprawę z nowych treści, jakie należy pod nie podkładać. Trzeba po prostu myśleć inaczej, ale przede wszystkim myśleć.

Mówimy często: w minionym trzydziestoleciu zaszły w naszym kraju ogromne przeobrażenia. Jaka jest ich skala?

W **1946 roku** w miastach mieszkało **31,8 proc. ludności Polski**, a na wsi — **68,2 procent.** W **1974 roku** w miastach mieszkało już **54,1 proc.** ludności Polski, a ze źródeł pozarolniczych utrzymywało się **72,9 proc.** Przed. wojną robotnicy wraz z rodzinami stanowili **28,6 proc.** Dziś — **49,8 proc.** Przed wojną inteligencja pracująca stanowiła **5,5 proc.** — dziś **22,4 proc.**, a więc blisko już tyle, ile w strukturze społecznej stanowi chłopstwo.

Czy te zmiany nie wywarły żadnego wpływu na społeczną świadomość? Wywarły niewątpliwy, ale pytanie należałoby sformułować inaczej: **czy wywarły dostateczny wpływ?** I wtedy odpowiedź nie byłaby całkowicie pozytywna. W minionym trzydziestoleciu **rozwój społeczny** odbywał się u nas bowiem nie w jednakowym stopniu w każdym okresie. Były okresy zahamowań i przyspieszeń, były okresy zakrętów historycznych i zostawiły one niewątpliwy ślad w społecznej świadomości. Ale przez cały ten czas zasadniczy kierunek rozwoju społecznego był jeden, był zgodny z podstawowymi prawami rozwoju społeczeństwa socjalistycznego.

Klasa robotnicza jest w socjalistycznym społeczeństwie klasą panującą, ale swoją władzę sprawuje ona w sojuszu z innymi warstwami społecznymi. Partia formułuje ogólnonarodowe programy, wyrażające interesy klasy robotniczej, a następnie organizuje klasę robotniczą i inne warstwy społeczeństwa do realizacji tego programu. Klasa robotnicza dysponuje różnymi formami wpływania na kształt spraw społecznych i gospodarczych. Poza udziałem jej przedstawicieli w pracach organizacji partyjnych, dysponuje związkami zawodowymi, samorządem i innymi organizacjami społecznymi. Inna sprawa, jak się te formy wykorzystuje? Czy zawsze z sposób maksymalny?

Industrializacja, modernizacja gospodarki, urbanizacja kraju powodują nie tylko zmiany w strukturze społecznej, ale też zmiany ilościowe i jakościowe w samej klasie robotniczej. Nie zapominajmy, że przeobrażenia dokonujące się u nas, dokonują się w warunkach zachodzącej na całym świecie rewolucji naukowo-technicznej.

Po pierwsze — do szeregów klasy robotniczej napłynęło wiele osób ze wsi. Z chłopów przeobrazili się oni w robotników. Jest to przeobrażenie nie tylko w pozycji społecznej, ale też w psychice. Wraz ze zmianą miejsca zamieszkania zmieniać się musi też sposób myślenia. Inaczej bowiem myśli człowiek nie widzący dla siebie perspektyw na wsi, a inaczej robotnik, który w miarę doskonalenia swoich umiejętności i kwalifikacji może sięgać coraz to wyższych pozycji w zawodowej i społecznej strukturze. Jest to grupa ludzi niezwykle ambitna i ekspansywna.

Po drugie — rozwój oświaty zawodowej, a przede wszystkim szybki postęp unowocześniania naszego przemysłu stwarza konieczność podnoszenia kwalifikacji. Nowoczesne maszyny muszą obsługiwać nowocześnie myślący i nowocześnie przygotowani specjaliści. W socjologii radzieckiej — jak o tym wspominają w „Nowych Drogach" Włodzimierz Wesołowski i Jan Błuszkowski w artykule „Ewolucja struktury społecznej w Polsce Ludowej" — pojawiła się nazwa **„robotnik—inteligent"**, określająca kształtowanie się nowej warstwy społecznej, **„łączącej w sobie cechy, które dawniej charakteryzowały odmienne człony struktury klasowej: robotników i inteligentów"**. My dopiero przystępujemy do kształtowania społeczeństwa rozwiniętego socjalizmu, ale podobne zjawisko zaczyna już i u nas występować.

Mamy przede wszystkim coraz więcej robotników posiadających średnie i wyższe wykształcenie. Dziś, aby zostać robotnikiem nie wystarczy już tylko pójść do urzędu zatrudnienia, coraz częściej trzeba legitymować się świadectwem ukończenia szkoły zawodowej lub technikum. Poza tym szybki postęp techniczny powoduje, że coraz częściej w produkcji muszą pracować ludzie z wyższym wykształceniem. Rośnie zatem liczba robotników wykwalifikowanych, a zmniejsza się liczba robotników niewykwalifikowanych. I to jest podstawa „lubienia" ludzi dobrej roboty.

Pojęcie **dobrej roboty** rozumiemy często jeszcze jako solidność, ofiarność, rzetelność. **Dobra robota** będzie się nam jednak coraz częściej kojarzyła z **inicjatywą, pomysłowością, twórczością, z twórczym stosunkiem do pracy**. Ten twórczy stosunek do pracy, to nie tylko przecież rzetelne wykonywanie swoich obowiązków, na co jeszcze dziś trzeba kłaść tak wielki nacisk, ale to przede wszystkim wnoszenie własnej wiedzy i pomysłowości, do tego co się robi. To stosunek nie biernego wykonawcy, ale człowieka myślącego, który nie zadowala się tym, co mu dano; ale chciałby w tym, co robi pozostawić swój wkład, ślad swojej pomysłowości. I ludzi tak myślących mamy i będziemy mieli coraz więcej.

Dziś wołamy o szacunek dla ludzi dobrej roboty, o szacunek dla tych, którzy rzetelnie wypełniają swoje obowiązki. Ale powinni nam przede wszystkim imponować ludzie, którzy mają twórczy stosunek do pracy, ludzie myślący, którzy nie chcą swojej wiedzy i swego doświadczenia zatrzymać tylko dla siebie. I takich ludzi warto p o l u b i ć. Oto dlaczego winniśmy lubić ludzi dobrej roboty. I wzorować się na tego typu postawach.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

HIPOTEZY

„METEORYT TUNGUSKI"... W ten sposób bywa nazywane do tej pory dziwne ciało niebieskie, które **30 czerwca 1908** roku wtargnęło nad Syberią w atmosferę ziemską. Lecz nie był to meteoryt! A więc czym było naprawdę? Kometą? Zgęszczeniem kosmicznego pyłu? Antymeteorytem? A może statkiem z innej planety?

ALEKSANDER KAZANCEW

KATASTROFA TUNGUSKA

Rys. Janusz Szymański — Glane

Był świt letniego, pogodnego dnia. Nad bezkresną tunguską tajgą błękitniało bezchmurne niebo. Nic nie zwiastowało katastrofy, kiedy nagle...

O siódmej rano powietrze zadrżało jak od kanonady. Setki ludzi — chłopi, myśliwi, rybacy — ujrzało nad swymi głowami nowe ciało niebieskie, jaskrawsze od słońca. Błyszcząca kula gwałtownie przecięła niebo. Mieszkańcy faktorii Wanawara widzieli przez kilka sekund jak na horyzoncie trysnęła ognista fontanna, która rozpłynęła się w obłok o kształcie grzyba. Rozległ się ogłuszający grzmot — słyszano go nawet w Konsku: przejeżdżający tam, 800 km od Wanawary, pociąg zatrzymał się — maszynista włączył hamulec pomyślawszy, że eksplodowały ładunki w wagonach towarowych. Nad tajgą niósł się huragan zrywający z domów dachy i wybijający szyby w oknach. Falę powietrzną, która dwukrotnie okrążyła ziemię, odnotowały nawet barografy w Londynie. Na Angarze i innych rzekach przewaliły się ogromne wały wodne, stanęły dęba pnie tratew. Stacje sejsmologiczne Jeny, Irkucka i innych miast zarejestrowały trzęsienie skorupy ziemskiej.

Cały świat przez kilka dni ze zdziwieniem mówił o niezwykłych zorzach, o białych nocach zaobserwowanych tam, gdzie ich być nie powinno: na paryskich bulwarach w bezksiężycową noc można było przy zgaszonych latarniach czytać gazetę, a niedaleko Moskwy — fotografować. Wreszcie zakłócenia wywołane dziwnymi zjawiskami niebieskimi stopniowo minęły.

Przeszły lata. **„Tunguskie dziwo"** zacierało się w pamięci. Przekazy naocznych świadków mieszały się z legendami. A gdzieś w głębinie syberyjskiej tajgi zarastał młodymi drzewami tysiącklometrowy leśny wyłom — ślad niezwykłej katastrofy.

W marcu 1921 roku do rąk **Leonida Kulika,** współpracownika Muzeum Mineralogicznego, trafiła kartka starego ściennego kalendarza zawierająca krótką wiadomość o zagadkowym gościu z przestworzy, który 13 lat wcześniej nawiedził Ziemię. Jako samouk nie posiadający systematycznego wykształcenia, L. Kulik instynktem badacza przyrodniczego pojął, że ma do czynienia ze zdarzeniem o wielkim znaczeniu naukowym.

W okresie głodu i rozruchów, kiedy jeszcze nie przebrzmiały ostatnie salwy wojny domowej, rząd radziecki znajduje środki, żeby zorganizować ekspedycję — pierwszą w historii nowej Rosji.

Gdyby Leonid Kulik wiedział, jakie trudności będą go oczekiwać na drodze do celu! Nawet odnalezienie rejonu katastrofy okaże się sprawą niełatwą. Ewenkowie lękają się miejsca, gdzie **„bóg Ogdy zstąpił z nieba na ziemię i pali niewidzialnym ogniem każdego, kto się zbliży".** Po bezdrożach, zwierzęcymi ścieżkami trzeba przenosić w jukach wielopudowe instalacje wiertnicze, żeby drążyć zmarznięty grunt. Kiedy towarzysze, wycieńczeni chorobami i pracą przerastającą siły, odejdą do Wanawary, Leonid Kulik zostanie sam w dzikiej, północnej dżungli.

W trzaskające lutowe mrozy **1927 roku**, zostawiwszy za sobą tysiące kilometrów, L. Kulik wchodzi wreszcie w granice wiatrołomu. Z góry Szachoma otwiera się przed nim fantastyczny obraz: dziewiczy las, otaczający sopkę, od stoku północnego został jakby ścięty gigantyczną brzytwą do samego horyzontu. Olbrzymie sosny, jodły, modrzewie leżą wierzchołkami na południowy-zachód: tak powaliła je straszna, nieznana siła, którą należało zbadać i poznać. Ale ogarnięty zabobonnym przestrachem przewodnik odmawia dalszego prowadzenia ekspedycji. Nie pozostaje nic innego jak zawrócić do Wanawary.

— — — — — — — —

Wiosną **1928 roku,** przerąbując się przez nieprzebyte zwaliska, badacze zbliżają się do wielkiej kotliny okrążonej powalonymi drzewami. Korzenie obalonych pni skierowane są mniej więcej w jeden punkt. Leonid Kulik wyciąga wniosek: epicentrum wybuchu zostało znalezione.

Nie raz i nie dwa wraca tutaj L. Kulik ze swymi nielicznymi pomocnikami. Ustala rozmiary zniszczeń — są rzeczywiście ogromne. Las został powalony na obszarze tysięcy kilometrów kwadratowych. Już pierwsze sprawozdania Kulika zwracają na tunguski fenomen uwagę całego świata.

L. Kulik jest zdania, że katastrofę spowodował upadek gigantycznego meteorytu. W tamtych latach taka hipoteza wydawała się w pełni naturalna. Inna przyczyna po prostu nie wchodziła w rachubę. Ale w takim razie powinny zachować się jakieś resztki kosmicznego przybysza i pozostawiony przez niego krater. Gdzie one są?

Poszukiwania nie przynoszą oczekiwanych rezultatów. Tony przekopanej ręcznie ziemi — i ani jednego odłamka. Zamiast krateru przypominającego ten z Arizony — zwykłe tajgowe błoto. Mało tego. W samym centrum, gdzie nastąpiło prawdopodobne uderzenie i gdzie, zdawać by się mogło, wszystko powinno zostać starte z powierzchni ziemi, wznoszą się martwe drzewa podobne do słupów telegraficznych: bez sęków, nawet bez kory, ale tkwiące korzeniami w gruncie.

Rodzą się pierwsze wątpliwości. Ale Leonid Kulik, odważny badacz, który problemowi tunguskiemu poświęcił wszystkie siły i tak wiele zrobił dla jego rozwiązania, nie toleruje wątpiących, a jego autorytet jest powszechnie uznany.

Ostatecznie rodzi się zdecydowane przekonanie: resztki meteorytu utonęły w roztajałych warstwach wiecznej zmarzliny i jedyne świadectwa katastrofy to błoto i powalona przez wybuch tajga...

W latach **1938 — 1939** dokonuje się lotniczych zdjęć tego rejonu. Dalsze badania przerwała wojna. **22 czerwca 1941 roku** Leonid Kulik zgłosił się ochotniczo do pospolitego ruszenia. W kwietniu 1942 roku poległ pod Smoleńskiem.

— — — — — — — —

W roku 1945 świat dowiaduje się o Hiroszimie i Nagasaki. Pierwsze wybuchy atomowe mają wiele wspólnego z katastrofą tunguską: oślepiający błysk i obłok w kształcie grzyba. Kilka miesięcy później czasopismo **„Wokrug swieta"** (Nr 1 z 1946 r.) publikuje opowiadanie — hipotezę pt. **„Wybuch"**, gdzie autor tych słów w zbeletryzowanej formie wyjaśnia swoją ideę — kosmiczne ciało tunguskie to nic innego jak gigantyczny statek z silnikiem jądrowym. Podczas próby wylądowania na terytorium Syberii uległ awarii i rozerwał się. Była to eksplozja jądrowa, nie ma więc odłamków. Wybuch nastąpił już w powietrzu, a nie przy zetknięciu z ziemią, dlatego też nie ma krateru; da się w ten sposób wyjaśnić, dlaczego ocalał ogołocony, ale tkwiący korzeniami w gruncie las: pnie zwrócone prostopadle do czoła fali uderzeniowej prawie nie stawiały jej oporu i straciły tylko gałęzie; za to drzewa skierowane do niej pod kątem zostały zmiecione w promieniu 30 i więcej kilometrów.

Niewielu w owym czasie odważyło się podzielać koncepcję, która wydawała się szaleńczą. Jej zwolenników można było policzyć na palcach (należał do nich astronom Feliks Siegel). Za to przeciwników, do tego czcigodnych, było więcej niż dostatecznie.

„Był to w rzeczywistości meteoryt, a nie statek kosmiczny — pisze w 1951 roku Wasyli Fiesenkow, akademik i Eugeniusz Krynow, uczony, sekretarz Komitetu Meteorytów. — **Wybuch tunguskiego meteorytu nie nastąpił na wysokości kilkuset metrów, jak fantazjuje A. Kazancew, lecz przy uderzeniu o powierzchnię ziemi. Utworzony początkowo krater szybko napełnił się wodą. Tak więc meteoryt tunguski nie przedstawia jakiejkolwiek zagadki, a jego natura nie wzbudza żadnych wątpliwości".**

— — — — — — — —

Ale dziwna sprawa: „antynaukowa spekulacja" fantasty bardziej pokrywa się z rezultatami badań, niż „ściśle naukowe" wyjaśnienia, które nie wychodzą za ramy tradycyjnego myślenia. Rozgorzała dyskusja. Znowu kieruje ona uwagę na „tunguskie dziwo" (termin Leonida Kulika). Z początkiem 1959 roku samorzutnie organizują się ekspedycje. Ich uczestnicy, przede wszystkim młodzież Syberii, Uralu, Moskwy i Leningradu, podczas urlopu za własne środki wyprawiają się do tunguskiej tajgi. I dokonują odkryć zmuszających do rewizji klasycznej koncepcji.

Jedna z tych grup — kierują nią **Giennadij Plechanow** i **Mikołaj Wasyliew** — przyjmuje inny punkt widzenia — tunguskie ciało niebieskie to zgęszczenie pyłu kosmicznego. Inna — na czele z **Aleksiejem Zołotowem** — pośrednio potwierdza hipotezę „jądrową". Nie pozostają bez zmian także poglądy uczonych z Komitetu Meteorytów Akademii Nauk ZSRR (przewodniczący — akademik Fiesenkow). Już w 1958 r., po raz pierwszy od ekspedycji L. Kulika, jego śladami kroczy grupa specjalistów pod kierunkiem **Kirylła Floreńskiego.** Rozpoczyna on głębokie rozpoznanie naukowe, które trwa do dziś. Rezultaty?

„Ekspedycja uzyskała ostateczne potwierdzenie tego, że wybuch meteorytu nastąpił w powietrzu". Tak pisze Eugeniusz Krynow, który w 1951 roku zwalczał „bzdurną hipotezę" o wybuchu powietrznym. Minie jeszcze kilka lat i akademik **Wasyli Fiesenkow** przyzna, że katastrofa tunguska nie mogła być wywołana **„zwykłym, nawet nadzwyczaj ogromnym meteorytem. Tym samym kometowa natura tego upadku zdaje się nie ulegać wątpliwości".**

Znów „nie ulega wątpliwości". Co prawda tym razem kometa. Ale czy tylko kometa?

— — — — — — — —

Jest zrozumiałe, że kometa zdolna jest „rozerwać się" wyparowywując w ułamku sekundy od ciepła, które wyzwala się przez oddziaływanie atmosfery. Ale, zgodnie z wyliczeniami profesora **Kirylła Staniukowicza,** żeby nastąpił taki wybuch (nazywa się cieplnym) tunguski obiekt musiałby poruszać się z szybkością nie mniejszą niż 30 km/sek. Znaczy to, że nawet przy najszybszym wyparowaniu zdążyłby on przelecieć kilka kilometrów. Prócz tego mapa zniszczeń, zestawiona przez Komitet Meteorytów, poświadcza: prawie wszystkie powalone drzewa (a oszacowano je na ponad 50 tys.) leżą wzdłuż linii prostych, które schodzą się w jednym miejscu — w epicentrum. Wybuch był więc punktowym, nie zaś rozległym!

Prawdą jest, że niektóre pnie odchylają się od ściśle promienistych kierunków. Taki rozrzut spowodowany był nałożeniem się dwóch fal uderzeniowych. Po pierwsze: balistycznej, która powstała jeszcze przed wybuchem, kiedy obiekt tunguski jak pocisk przebił atmosferę! Po drugie: wybuchowej, zrodzonej przez jego zniszczenie. Opracowanie tych danych na elektronicznej maszynie cyfrowej pozwoliło dokładnie określić szybkość lotu w etapie końcowym: 1—2 km/sek. To wyraźnie za mało, aby jądro komety wyparowało tak błyskawicznie.

Może zatem do atmosfery wtargnęło zgęszczenie kosmicznej antymaterii? Przy jego spotkaniu z materią ziemską (gazami atmosferycznymi) powinna była nastąpić anihilacja, „wzajemne zniszczenie" materii i antymaterii, czemu towarzyszy wyzwolenie energii. Takie przypuszczenie wyraził już w r. 1948 amerykański specjalista z dziedziny meteorytyki, **La Paz.** A w 1965 r. poparli go amerykańscy fizycy **Willard Libby, Clid Cowan,** laureaci Nagrody Nobla i **K. Ellury,** którzy przeprowadzili staranne badania z zastosowaniem metody węgla radioaktywnego. Ich publikacja w angielskim czasopiśmie „Nature" wywołała ogromne zainteresowanie w ZSRR. Dla czasopisma „Niedielą" stało się to powodem przeprowadzenia wywiadu z kandydatem nauk geologiczno-mineralogicznych **Kirylłem Floreńskim.**

Ideę wybuchu jądrowego w jej anihilacyjnym wariancie nazwał K. Floreński „bardziej fantastyczną niż naukową". Stwierdził:

„Dane i wyobrażenia Amerykanów o meteorycie tunguskim są dalece niedokładne... Radzieckie ekspedycje ostatnich lat, stwierdziły że w centrum wybuchu w 1908 r. nie wzrosła radioaktywność. Można uważać za dowiedzione, że nie istnieją podstawy do rozmów o jakichś wybuchach jądrowych. Prawdopodobnie po raz pierwszy w historii ludzkości mamy do czynienia z upadkiem na naszą planetę nie meteorytu, a prawdziwej komety".

Wywiad został opublikowany pod tytułem **„Koniec tunguskiej zagadki".**

— — — — — — — —

Rok 1965. Dubna. Pracownicy Zjednoczonego Instytutu Badań Jądrowych pilnie wysłuchują pisemnej odpowiedzi K. Floreńskiego dla Libby'ego, Cowana i Etlury'ego. Tam też występuje z referatem **Aleksiej Zołotow.** To on obala wywody K. Floreńskiego. A mianowicie, roczne słoje na przekrojach tunguskich drzew, które narosły po roku 1908 są znacznie grubsze od tych sprzed wybuchu. Może więc rolę stymulatora odegrała radioaktywna materia.

Analizując barogramy wybuchu zarejestrowane przez obserwatorium w Greenwich A. Zołotow wyciąga wniosek, że przypominają one przede wszystkim te krzywe, które obserwowano podczas eksplozji atomowych w powietrzu, przeprowadzanych na wysokości około 5 km.

Materiały zgromadzone przez grupę Aleksieja Zołotowa dają akademikowi **Borysowi Konstantynowowi** podstawę **„dopuścić możliwość jądrowej natury wybuchu tunguskiego".**

Obecnie radiochemicy dokładnie analizują popiół tunguskich drzew, aby ostatecznie wyjaśnić charakter wybuchu. Jeśli okaże się, że zostały wywołane podziałem ciężkich jąder (jak w bombie atomowej) albo syntezą lekkich (jak w bombie wodorowej) stanie się niemal oczywistym udział istot rozumnych — pozaziemskich konstruktorów, którzy zbudowali międzyplanetarny latający aparat. Naturalne wybuchy tego typu są praktycznie wykluczone.

— — — — — — — —

A co z możliwością anihilacji?

Tunguski obiekt rozerwał się z mocą 10-megatonowej bomby termojądrowej. Żeby wywołać zniszczenia podobnych rozmiarów wystarczyłby „antymeteoryt" o wadze wszystkiego 300—400 gramów. Jednakże skoro był on tak mały, to skąd wzięła się silna fala balistyczna? Oczywiście pod względem energii jest ona 1000 razy słabsza od wybuchowej, ale mimo wszystko mogło ją wzbudzić tylko duże ciało — wielometrowych rozmiarów. Mimo wszystko zresztą w systemie słonecznym nawet takie zgęszczenia antymaterii prawdopodobnie nie istnieją. Jest mało wiarygodne, by przedarły się w całości i w nienaruszonym stanie z dalekich przestrzeni międzygwiezdnych. Nasuwa się inna wersja: czy przypadkiem nie rozerwał się anihilacyjny silnik gwiazdolotu?

Latem 1967 roku Zjednoczony Instytut Badań Jądrowych opublikował pracę kandydata nauk fizyczno-matematycznych **Włodzimierza Miechedowa.** Zostało w niej stwierdzone: jednym z następstw wybuchu tunguskiego jest szczątkowa radioatywność zachowana przez drzewa. Godny uwagi wywód W. Miechedowa:

„My znów (choćby to wyglądało nie wiadomo jak fantastycznie) wracamy do hipotezy, że katastrofa tunguska została wywołana awarią statku kosmicznego, którego paliwo stanowiła antymateria".

— — — — — — — —

Do niedawna uważano, że obiekt tunguski przemieszczał się w atmosferze z południa na północ. Tak przede wszystkim twierdzili naoczni świadkowie. Ale pnie obalonych drzew mówią, że na miejsce swego zniszczenia nadleciał on ze wschodu. Czyim świadectwom wierzyć?

Uczeni radzieccy **Igor Zotkin** i **Michał Cykulin** odtworzyli słynną katastrofę w laboratorium. Sznur detonacyjny ze wzmocnionym ładunkiem na końcu imitował ruch i wybuch obiektu tunguskiego. Przy pewnych położeniach sznura miniaturowe modele drzew padały tak, że uzyskany obraz przypominał realny, ujawniony przez zdjęcia lotnicze i badania naziemne. Opierając się na rezultatach swoich eksperymentów autorzy uznają za prawdopodobną tylko trajektorię „wschodnią".

A **Feliks Siegel** doszedł w r. 1966 do przekonania, że w rachubę trzeba brać obie trasy. Obie alternatywy łączą się w hipotezę, że początkowy kurs obiektu tunguskiego zmieniał się dwukrotnie. Do takiego manewru zdolny jest tylko latający aparat pilotowany albo sterowany radiem.

Wygląda na to, że w 1908 roku rzeczywiście złożono nam wizytę z Kosmosu — niepojętą co do zamiarów, tragiczną w swym przebiegu, ale ogromną pod względem znaczenia.

Przełożył:

KONRAD FREJDLICH

Piłka nożna od dawna cieszy się niezmierną popularnością wśród kibiców. Ostatnie niepowodzenia naszych piłkarzy zaniepokoiły opinię publiczną. Zaprosiliśmy do redakcji kilka osób, które zawodowo lub z amatorstwa zajmują się sportem, prosząc ich o udział w redakcyjnej dyskusji na temat piłki nożnej. Dyskusję zorganizowali i prowadzili: WŁADYSŁAW LACHOWICZ I BOGDA MADEJ.

OBRACHUNKI PIŁKARSKIE

Kibice piłki nożnej – a jest ich w Polsce bardzo dużo – podobnie jak i działacze, zastanawiają się nad przyczynami ostatnich niepowodzeń naszej reprezentacji w międzynarodowych spotkaniach piłkarskich. Co dalej robić z naszą piłkarską reprezentacją? Czy jej dotychczasowy skład nie wymaga zmian? Czy styl gry naszej reprezentacyjnej jedenastki nie jest już dostatecznie znany przeciwnikom? Czy przy obecnych niepowodzeniach możemy myśleć o sukcesie na Olimpiadzie?

O odpowiedź na te i inne pytania poprosiliśmy redakcyjnych gości. Udział w dyskusji między innymi wzięli: **JERZY LECHOWSKI** – zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Piłka Nożna", **LESZEK JEZIERSKI** – trener drużyny piłkarskiej RTS Widzew, **LUDWIK SOBOLEWSKI** – wiceprezes do spraw piłki nożnej RTS Widzew **STANISŁAW STACHURA** – trener drużyny piłkarskiej ŁKS, **BOGDAN TUSZYŃSKI** – kierownik redakcji sportowej Polskiego Radia.

L. JEZIERSKI: — Mnie się wydaje że zmiany w naszej reprezentacji sa konieczne. Ale nie powiedziałbym, że to musi być tylko „zastrzyk młodej krwi". Nie chcę tutaj powtarzać słów trenera Kazimierza Górskiego, ale również jestem zdania, że do reprezentacji powinni trafiać przede wszystkim najlepsi.

L. LECHOWSKI: — Ja niejednokrotnie już pisałem o tym, iż nie uznaję zasady — i tu może jestem w kontrowersji z Kazimierzem Górskim — że nie należy zmieniać zwycięskiej drużyny. Owszem, należy, ale wtedy, kiedy istnieje zdrowa rywalizacja, kiedy komuś zależy na tym, aby tego, kto już ma „etat w reprezentacji" z tej reprezentacji wyprzeć. Musi jednak o to walczyć i pracować. I to jest chyba rzecz podstawowa.

L. SOBOLEWSKI: — Za dużo paniki zrobiono koło reprezentacji. W obecnej sytuacji i Kazimierz Górski i ci, którzy zajmują się reprezentacją, muszą mieć dużo spokoju. W piłce nożnej, tak jak i w życiu, są wzloty i upadki. Sztuka polega na tym, że jak się spada to trzeba uważać, żeby nie spaść zbyt głęboko i nie za bardzo się potłuc. Nasza reprezentacja jeszcze się nie potłukła.

Czy potrzebne są zmiany?

W każdej reprezentacji, w każdej drużynie potrzebne są od czasu do czasu zmiany. Potrzebne są też i w naszej reprezentacji. Ale byłyby potrzebne nawet i wtedy, gdybyśmy wygrali z Holandią i Włochami.

ST. STACHURA: — Ja się niezupełnie z tym zgadzam. Nikt chyba nie zaprzeczy, że nasza reprezentacja coś osiągnęła. I nie należy tego dorobku marnować przez radykalne, natychmiastowe zmiany w składzie. Ten zespół budowano przez długi okres czasu, włożono w to wiele pracy szkoleniowej i w tej chwili wymiana zawodników na pewno nie wyszłaby drużynie na dobre. Moim zdaniem nie można mówić, że reprezentacja zawiodła. Ale nie można też zaprzeczyć, że ostatnio grała słabiej.

L. SOBOLEWSKI: — Mam wrażenie, że w tej chwili atmosfera w naszej reprezentacyjnej drużynie nie jest zbyt dobra. Czy zaczęło się to od sprawy Kazimierza Deyny, czy może jeszcze wcześniej? Trudno mi to powiedzieć dokładnie, bo na tyle się nie orientuję. Ale coś jednak musi być. Na przykład Andrzej Szarmach w meczu z ŁKS nie miał ochoty grać a w następnym meczu z Szombierkami w ogóle do połowy nie grał. Coś się więc z tymi zawodnikami dzieje.

L. JEZIERSKI: — A więc to przemawia za moim poglądem. Zmiany są konieczne. I ze względu na wiek, i z tego powodu, że niektórzy nasi reprezentanci robią się coraz wygodniejsi w swojej grze. Zygmunt Maszczyk już nie jest tym „robotem" w naszej drużynie, jakim był. Często nie starcza mu sił. Kazimierz Deyna nie wiadomo o czym w ogóle myśli i jasno można powiedzieć, że nie spełnia tej roli, jaką w drużynie powinien spełniać Henryk Kasperczak to osobna sprawa. Być może kontuzje wpłynęły na to, że obniżył poziom gry. Ale na pewno trzeba go jeszcze widzieć w drużynie, bo nie możemy wymienić całego trzonu zespołu. Stracilibyśmy wówczas ten styl, jaki mieliśmy.

L. SOBOLEWSKI: — Szum wokół gry naszej drużyny zaczął się po przegranym meczu w Amsterdamie. Jestem przekonany, że gdybyśmy jeszcze raz powtórzyli ten mecz w tym samym zestawieniu, to nigdy by nie doszło do takiego wyniku. Ja nie wiem, co się wówczas z naszymi chłopcami stało, grali jak z powiązanymi nogami. Ale tak przecież czasem bywa z drużynami, choćby ligowymi. I cała sztuka — odpowiedzieć na pytanie, co się stało? Bo łatwiej jest krytykować, łatwiej jest od razu domagać się zmian w reprezentacji, w stylu gry, żądać reorganizacji. Ale to już leży w naszym charakterze. Jak coś nie wychodzi, to szybko robimy reorganizację, a po reorganizacji często jest jeszcze gorzej niż było przedtem.

J. LECHOWSKI: — Rozmawiałem z Kazimierzem Górskim, który powiedział, i tu się z nim zgadzam, że minimum czterech zawodników trzeba w zespole zmienić. A to dotyczy zarówno obrony i pomocy, która jest najstarsza w zespole, jak i znalezienia jeszcze jednego, a może dwóch napastników.

Czy w związku z tym zmieni się styl gry naszej reprezentacji? Czy się w ogóle powinien zmienić? Mnie się wydaje, że podstawowa zasada polskiego stylu gry w żadnym wypadku nie powinna ulec zmianie. Powinna ulec zmianie taktyka, ale styl, zasada, podstawa — powinny pozostać bez zmian. To znaczy: gramy odważnie, ofensywnie.

B. TUSZYŃSKI: — Słucham tego, co mówicie i rodzi mi się takie pytanie: — Czy spotkalibyśmy się tutaj, gdyby nasza reprezentacja grała na poziomie mistrzostw świata, czy zastanawialibyśmy się, czy potrzebna jest „młoda krew" w drużynie? Bardzo podobało mi się to, co mówił Leszek Jezierski, bo i ja zajmuję takie samo stanowisko. Młodzi, nie młodzi — po prostu mają to być dobrzy zawodnicy. Jest rzeczą niewątpliwą, że po euforii, po sukcesie przyszedł inny moment. Ale chyba nie ma generalnego załamania, złej koncepcji gry.

Zobaczmy, co się dzieje na świecie. Czy drużyny RFN, Holandii, Brazylii, Argentyny są dziś drużynami z mistrzostw świata? Wydaje mi się, że jest to naturalne załamanie, jakie obserwujemy nie tylko u naszych piłkarzy.

J. LECHOWSKI: — A ja bym to jednak sprowadził do stylu gry. Styl jest to dla mnie coś, co charakteryzuje tylko pewną zbiorowość. Polacy zaskakiwali świat piłkarski tym, że grali odważnie, z fantazją i polotem. Ale do tego potrzeba zawodników, którzy potrafią zawsze tak grać. A więc uważam, że styl absolutnie powinien zostać ten sam. Pozostaje jeszcze sprawa taktyki gry. I tu uważam, że należy wprowadzać nowości. Dotyczy to, moim zdaniem, przede wszystkim linii obrony. Nasza reprezentacja grała, jak mówił świat, bardzo nowocześnie. Tak grał atak, linia pomocy i boczni obrońcy. Natomiast nie zmieniliśmy sposobu gry środkowych obrońców. I tutaj widzę największe pole do popisu.

Na mistrzostwach świata i później graliśmy z klasycznym „wymiataczem" — zawodnikiem wolnym, działającym poza linią obrony, niejako straconym dla zespołu. Proszę mnie źle nie rozumieć, ale dzisiaj każdy zawodnik przez 90 minut powinien brać czynny udział w grze. A stoper-wymiatacz w zasadzie jest tym, który działa dopiero wtedy, kiedy powstaje konkretna potrzeba. Natomiast już cały świat gra inaczej. Weźmy choćby zespół RFN, który gra z „libero", a więc z zawodnikiem, który potrafi być i wymiataczem i kryjącym szybkiego napastnika jeśli zajdzie tego potrzeba, i tym, który reżyseruje akcję, rozwija ją i kończy strzałem. I takich zawodników w polskim zespole brak.

L. JEZIERSKI: — Nie chcę szczegółowo mówić o zmianach w reprezentacji, bo wszystko zależy od tego, jakimi zawodnikami będziemy dysponować. Nie sądzę jednak, że potrzebny nam jest „libero". Ja uważam, że boczni obrońcy — Antoni Szymanowski i Henryk Wawrowski reprezentują bardzo ofensywny styl gry. I jeśli doszedłby do nich „libero" — ciągle wychodzący do przodu, to boję się, że niebezpiecznie odsłanialibyśmy przedpole i każda mądrze grająca drużyna szybko by się z nami uporała.

B. TUSZYŃSKI: — Czym możemy zaskakiwać przeciwników? Zmianami taktycznymi? Nowym, jeszcze nie stosowanym sposobem walki? Uważam, że style rozwijają się nieustannie. Tego, co było dziesięć lat temu, nie będzie w Argentynie. Wygra ta drużyna, która stworzy coś nowego.

J. LECHOWSKI: — Chciałbym być dobrze zrozumiany. Stwierdziłem pewien fakt. Brak „libero" w polskim zespole. Ale to wcale nie znaczy, że domagam się wprowadzenia tego sposobu gry. Śledzę uważnie prasę zagraniczną i znajduję tam wypowiedzi o tym, że nadchodzi zmierzch „libero". To znaczy, że trzeba już szukać innych rozwiązań. W mistrzostwach świata stoperzy Holandii grali inaczej, bez asekuracji, bo Holendrzy uważają, że w pojedynkach „jeden za jeden" są silni i to im wystarcza. Drużyna RFN też grała inaczej. I już choćby dlatego trzeba szukać nowych rozwiązań taktycznych, które odpowiadałyby polskiemu zespołowi i byłyby odpowiedzią na taktykę przeciwnika.

L. JEZIERSKI: — Jeśli zmienimy zawodników, to zmieni się automatycznie styl gry. Wychodzę bowiem z założenia, że trzeba dawać zawodnikom maksimum swobody w grze i przez to wykorzystać ich indywidualne umiejętności. A to musi wpływać na styl gry. Styl gry musimy jednak zmienić, bo już nie możemy niczym przeciwnika zaskoczyć. Byłem na mistrzostwach świata, widziałem mecze polskiej reprezentacji. Myśmy zaskoczyli wszystkich tym, że nas nie znano. Nie znano wartości Andrzeja Szarmacha, nie znano wartości Grzegorza Lato. Nasi mogli swobodnie wykorzystać wówczas swoje umiejętności.

Nie jestem pewien czy można stwierdzić, że Kazimierz Górski zachował w reprezentacji grę typowych skrzydłowych. Mnie się wydaje, że Robert Gadocha nie był typowym skrzydłowym, bo grał głęboko cofnięty i rzadko spełniał rzeczywistą rolę skrzydłowego. Najlepszy dowód, że strzelił mało bramek. Czy typowym skrzydłowym jest Grzegorz Lato? Dla mnie Lato w tej chwili w ogóle nie gra na skrzydle, ani w reprezentacji, ani w klubie. Gra na wszystkich pozycjach, szuka sobie wolnego miejsca i przez jakiś czas na pewno znakomicie spełniał swoją rolę. Ostatnio jednak już jest za bardzo rozszyfrowany i to nie tylko przez zawodników zagranicznych, ale również i ligowych piłkarzy.

ST. STACHURA: — Chciałbym zwrócić uwagę na jedną sprawę. Czy myśmy właściwie potraktowali rozgrywki o mistrzostwo Europy? Czy nie należało dać przynajmniej niektórym zawodnikom odpocząć, tak jak to zrobił trener naszych siatkarzy, Hubert Wagner przy ustawianiu reprezentacji również na Mistrzostwa Europy. Mnie się wydaje, że tu popełniono błąd. Wszystko zostało potraktowane bardzo prestiżowo, pod kątem reprezentacji ustawiono rozgrywki ligowe. W efekcie nie awansowaliśmy do dalszych rozgrywek w Mistrzostwach Europy, a i korzyści szkoleniowe nie były nadzwyczajne. Sądzę, że tę imprezę powinniśmy — jak to się popularnie mówi — puścić i spróbować innych ustawień i wypróbować nowych zawodników.

Czy my mamy takich zawodników, którzy mogliby zastąpić kolegów z reprezentacji? Trzeba się najpierw zastanowić nad jednym. Czy ta reprezentacja osiągnęła wszystko, czy od tej reprezentacji nie można już niczego więcej wymagać? Drużynę, która osiągnęła duże sukcesy, stać jeszcze, po jakichś niewielkich retuszach, na więcej. Zmiany jednak nie mogą być duże, chodzi o jednego czy dwu zawodników, ale muszą być lepsi od tych, którzy aktualnie występują w reprezentacji.

L. JEZIERSKI: — Ale reprezentanci niczym na meczach ligowych nie imponują. Jeżeli teraz Andrzej Szarmach lub Grzegorz Lato strzela bramkę, to prasa przyjmuje to z wielkim entuzjazmem, a dawniej ci sami zawodnicy strzelali bramki na każdym meczu. Ci piłkarze przechodzą teraz spadek formy. A może myślą już innymi kategoriami? Odejście Roberta Gadochy do drużyny zawodowej wprowadziło trochę niedobrej atmosfery wśród reprezentantów i zespołów ligowych. Zaczęto liczyć, ile ten Gadocha zarobi? Czy się teraz opłaca grać w polskiej lidze?

L. SOBOLEWSKI: — Nie jestem pewny czy styl gry polskiej drużyny został do końca rozszyfrowany. Jeżeli Holendrzy, doskonale nas znając, przyjechali do Polski i przegrali 4:1, to chyba z tym rozszyfrowaniem nie jest zupełnie tak.

Jeśli wszyscy zawodnicy są dobrze przygotowani pod względem szybkości kondycji i psychicznie, to z tym stylem – jakim gramy — można w dalszym ciągu należeć do najlepszych w świecie. Więc nie o styl tu tylko chodzi, a o moment prawidłowego przygotowania zawodników do gry. A to jest, w moim pojęciu, najtrudniejsze. Coś mi się jednak zdaje, że niektórzy nasi zawodnicy za bardzo przypominają primadonny.

B. TUSZYŃSKI: — Na pewno dochodzą tutaj jeszcze inne sprawy: ten wyjechał, ten nie wyjechał. A to są ludzie. Liczą. Jednemu pozwolono wyjechać i już jest kolejka, każdy się zastanawia: a może ja też, gdzie będzie lepiej?

Nie bez znaczenia była i otoczka, która towarzyszyła sukcesowi. Te przyjęcia, pieniążki, samochodziki, to wszystko miało jakieś znaczenie. Mnie się wydaje, że tu nie tylko chodzi o „libero", że nie tylko prawe i lewe skrzydło coś znaczy. To są ludzie, normalni ludzie, którzy podlegają pewnej presji społecznej.

Foto: W. Parys

Czy przyjęcie, jakie przygotowano piłkarzom po sukcesie na Mistrzostwach Świata nie należało im się? Należało, bo zrobili bardzo dużo. A że teraz grają gorzej? Ja bym też grał słabiej, słowo honoru, na pewno grałbym słabiej.

Ale słucham tej dyskusji i zastanawiam się, gdzie ja jestem? Czy to jest narada specjalistów piłkarskich na wysokim szczeblu? Na razie to wszystko, co tu mówimy jest szalenie specjalistyczne. Ja nie jestem za tym, broń Boże, żeby dyletanci dyskutowali o piłce nożnej, ale z drugiej strony jako propagandysta zastanawiam się, czy ta dyskusja powinna tak się rozwijać. A może powinniśmy podpowiedzieć ludziom, jak odbierać sport, powinniśmy mówić o ogólnych wartościach sportu, pokazać ludziom jak patrzeć na piłkę nożną? Takie są moje wątpliwości.

W. LACHOWICZ: — Dojdziemy jeszcze i do tych spraw. Uważam jednak, że po tylu specjalistycznych — jak złośliwie określił Bogdan Tuszyński — uwagach na temat reprezentacji, głos powinien zabrać trener Kazimierz Górski.

Opracowała: B. MADEJ

Redakcyjna dyskusja trwała przeszło pięć godzin. Jej dalszy ciąg zrelacjonujemy w świątecznym numerze **„OD GŁOSÓW"**. Obok tych, którzy wypowiadali się w opublikowanym powyżej fragmencie dyskusji: **J. Lechowskiego, L. Jezierskiego, L. Sobolewskiego, St. Stachury i B. Tuszyńskiego** – na temat piłki nożnej, polskiej reprezentacji, jak też gry i sytuacji obu łódzkich drużyn pierwszoligowych – RTS Widzew i ŁKS – w dalszym ciągu dyskusji będą również mówili:

– **MIECZYSŁAW AUGUSTYNIAK** – wiceprezes do spraw piłki nożnej ŁKS,

– **KAZIMIERZ GÓRSKI** – trener narodowej reprezentacji piłkarskiej,

ROMAN KŁOSOWSKI – aktor, dyrektor Teatru Powszechnego w Łodzi, kibic,

– **WACŁAW PEGZA** – kierownik wyszkolenia sekcji piłki nożnej Wojewódzkiej Federacji Sportu.

MAREK MILLER

PODZIEMNE ARTERIE

825 km długości. Od 3,5 do 13 m pod powierzchnią ziemi. Codzienne miejsce pracy dla 120 ludzi, bez których normalne funkcjonowanie miasta byłoby niemożliwe – to ŁÓDZKIE KANAŁY.

Fot.: Archiwum

1.

W pobliżu parku Źródliska, przebieramy się w ubrania ochronne i zabieramy sprzęt, długie gumowe buty, kaski, specjalne lampy i liny ubezpieczające. Tu właśnie znajduje się właz do kanału szczególnie niebezpiecznego i trudnego do konserwacji. Znajdująca się w pobliżu miejska gazownia wprowadza do ścieków swój produkt uboczny tzw. wodę pogazową, której opary unoszące się w kanale w szybkim czasie niszczą jego ścianki.

Po otwarciu włazu pracownik spuszcza na lince w dół tzw. lampę Davego, która bezbłędnie wykazuje brak lub istnienie gazu na dole. Płomień lampy pali się spokojnie, możemy bezpiecznie zejść na dół. Na górze zawsze zostają dwie osoby do ubezpieczenia.

Odczekujemy jednak jeszcze 15 minut, aby ciąg powietrza przewietrzył kanał. Z ziejącego pod nogami otworu słychać szum wody. Po oślizłych zaczepach, stopień po stopniu, powoli schodzimy w dół. Nad głową widnieje już tylko maleńki okrągły otwór z kawałkiem pochmurnego nieba. Przekrój kanału przypomina jajo.

Brnąc w ścieku powyżej kostek, mocno zgarbiony, posuwam się do przodu. W kompletnej ciemności błyskają tylko światła lamp. Na oślizłej, wilgotnej ścianie kilkucentymetrowa warstwa smolistej mazi. Skutek działania gazów. Krople wody bębnią po kasku, drażni nozdrza unoszący się wszędzie ostry, niemiły zapach. Krok po kroku brniemy do przodu. Wreszcie biała plamka dziennego światła — sygnalizująca zbliżanie się do włazu, umazany z lekka błotem wychodzę na zewnątrz i głęboko wdycham powietrze.

To dopiero początek mojego rajdu po łódzkich kanałach i początek spotkania z ludźmi, którzy znają tu każde miejsce, bo jest ono miejscem ich codziennej, niebezpiecznej i odpowiedzialnej pracy.

2.

W kronice **Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego**, które w tym roku obchodzi swoje 50-lecie, możemy przeczytać:

„W latach 20 bieżącego stulecia Łódź była jedynym ponad półmilionowym miastem w Europie bez kanalizacji i wodociągów. Charakterystyczne i typowe były więc dla Łodzi obrazki, które sugestywnie opisywał Tuwim, mówiąc o „kloacznej beczce z pompą ssącą, która wjechała na podwórze", albo o „cuchnącej Łódce i rynsztokach, nad którymi bawiły się limfatyczne bałuckie dzieci". Dr Starzyński, składając jeden ze swoich raportów, pisze: „w robotniczych dzielnicach, najgęściej zaludnonych, panują bez przerwy epidemie tyfusu. Dur brzuszny stanowi 50 procent wszelkich w ogóle zachorowań, a wszystko to z powodu braku wody i kanalizacji".

Fot: Archiwum

Wielu działaczy i społeczników doceniało potrzeby budowy komunalnych urządzeń sanitarnych w mieście. Samorzutnie zgłaszali się do władz miejskich fachowcy, deklarując swą pomoc. Przemysł torpedował jednak te projekty i nie dopuszczał do ich szczegółowego opracowania z obawy, aby nie zmniejszyło to wydajności istniejących ujęć fabrycznych wody.

W pierwszym dziesięcioleciu bieżącego stulecia (1908—1909) angielski inżynier **W. H. Lindley**, po szczegółowych studiach w terenie, opracował projekt budowy kanalizacji oraz wodociągu miejskiego z uwzględnieniem doprowadzenia wody z rzeki Pilicy. Pierwszym rokiem rozpoczęcia budowy kanalizacji był rok 1929, który też należy uznać za datę powstania miejskich urządzeń wodno-kanalizacyjnych.

Takie były początki.

3.

Dziś omurowany i skryty pod ziemią wielki kanał nazwany przez pracowników pieszczotliwie „Krową". Nad wejściem do kanału napis:

„UWAGA, WEJŚCIE DO KANAŁU GROZI ŚMIERCIĄ".

Po otworzeniu ciężkiej żelaznej kraty wchodzimy do środka. Wielkość kanału jest bardzo duża, ciężarowy samochód swobodnie mógłby tędy przejechać. Po obydwu stronach równolegle biegną chodniki, pośrodku płyną ścieki. Po kilkudziesięciu metrach dochodzimy do miejsca, gdzie zbiegają się odnogi kanałów z jednej części miasta. Obraz jest imponujący. Wygląda to jak aorta, z dobiegającymi do niej cienkimi nitkami żył, wrażenie potęguje jeszcze niemal gotycki charakter sklepień.

Strumienie ścieków łączą się tu, nabierając dużej prędkości. Echo niesie szum wody i głosy moich przewodników szeroko po całym kanale. Jest to miejsce szczególnie niebezpieczne. Każdy nieostrożny krok na śliskim chodniku grozi obsunięciem się do głębokiego kanału. Jest to równoznaczne ze śmiercią, gdyż kilka metrów dalej schodzi on stromo i głęboko pod ziemię, wypływając dopiero aż na Lublinku.

Podziemne arterie miasta są pełne uroków i śladów rozpoznawalnych

POLEMIKI–LISTY

„BARBARZYŃCA W SZKOLE"

„Nauczyciel nie jest sam!" Przekonał mnie o tym Jacek Indelak, który w numerze 42 i 43 „Odgłosów" opublikował dwa artykuły pod wspólną żałobną ramką — **„Oświata — Wychowanie"**. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie wołania Jacka Indelaka: **„Nie owijajmy w bawełnę"**.

I racja! Surowiec przeznaczony do produkcji musi być czysty. Pozwolę sobie oczyścić artykuły Jacka Indelaka z „brudów" utrudniających prawidłową percepcję ich treści. Prawdą jest bowiem, że Wincenty Okoń to klasyk dydaktyki polskiej. Reszta natomiast jest fałszem. Szukałem w wielu katalogach **„Zarysu dydaktyki szkolnej"** i nigdzie nie znalazłem. Skąd zatem Jacek Indelak zaczerpnął: **„... czynniki od których zależy powodzenie pracy szkolnej"?**

Pobieżne oględziny wykazały, że chodzi tutaj o **„Zarys dydaktyki ogólnej"** Wincentego Okonia wydany w 1970 roku z fragmentami zaprogramowanymi przez Czesława Kupisiewicza. Owe czynniki można znaleźć na str. 367—368. Tak przynajmniej sądzę.

Cieszy fakt, że Jacek Indelak cytując fragmenty z prac Klemensiewicza, Korczaka i Lausza przyznaje się do tego, czego dowodem są odpowiednie sygnały wzrokowe (cudzysłów, tłusta czcionka). Zatem wszystko, co nie jest wydrukowane tłustą czcionką i nie jest ujęte w cudzysłów jest osobistą własnością autora... Okazuje się, że jednak nie wszystko... Żeby nie być gołosłownym przytoczę dla porównania dwa fragmenty: jeden z artykułu pt. **„Barbarzyńca w szkole"**, drugi z pracy K. Lausza **„Podstawowe problemy współczesnej metodyki literatury"**, PWN 1970, str. 131.

Jacek Indelak pisze:

„(...) Metodą nauczania jest każdy sposób złożonego działania nauczyciela w procesie nauczania i wychowania, który stosuje on ze świadomością jako środek zmierzający do osiągnięcia zamierzonego celu, co do którego posiada on również świadomość, że sposób ten da się powtarzać w każdym przypadku".

A oto tekst Karola Lausza:

„(...) Metodą nauczania nazwiemy zatem każdy sposób złożonego działania nauczyciela (osoby nauczającej) w procesie nauczania i wychowania, który a. stosuje on ze świadomością jako środek zbliżający go do zamierzonego celu i b. co do którego posiada on świadomość, że sposób ten da się powtarzać w każdym przypadku (na każdej lekcji) podobnego typu".

Nie chciałbym się rozwodzić nad uczciwością dziennikarską bo gdyby okazało się, że Jacek Indelak uzyskał od Karola Lausza zezwolenie na ten niewinny plagiacik, to byłoby mi bardzo głupio.

„Naukowy" charakter artykułu idzie w parze z pewnymi uogólnieniami, które zastanawiają swoją precyzją i zagadkową treścią. Oto chociażby takie sformułowanie:

„Stąd wreszcie radość studiujących nauczycieli, którzy ze względu na staż zawodowy i inne zasługi zwalniani są z zajęć metodycznych, a tych ostatnio jest, niestety, rzesza ogromna".

Widać nie miałem odpowiedniego stażu zawodowego, a tym bardziej owych innych zasług (czy staż zawodowy jest zasługą?), ponieważ nikt z zajęć metodycznych mnie nie zwolnił. A szkoda, bo byłbym teraz barbarzyńcą! Być może Jacek Indelak dokonał adaptacji pewnego stwierdzenia:

„W niektórych krajach istnieje powiedzenie: „Dwoje to para, troje to manifestacja". (Szpilki nr 43 s. 4).

Ale to tylko nawias, bo ciekawsze są uwagi Jacka Indelaka na przedmiot studiów uniwersyteckich pod nazwą metodyka nauczania języka polskiego i literatury, w którym miałem zaszczyt brać czynny udział w charakterze studenta i to z wynikiem prawie że doskonałym. Jacek Indelak pragnie podnieść metodykę **"na należne jej miejsce"**. To piękny i chwalebny czyn! Ale nie rozumiem, dlaczego **„Barbarzyńca w szkole"** ma być w odczuciu autora kamieniem węgielnym w nowoczesnym rozumieniu celów i zadań metodyki jako nauki. Uczono mnie, że o ważności jakiejś **dyscypliny naukowej decyduje** także ilość prac związanych ściśle z tą dyscypliną. Wystarczy wziąć do ręki:

1. **„Bibliografię metodyki języka polskiego 1918—1939"** pod redakcją W. Szyszkowskiego (PZWS 1963 r.) zawierającą 3536 pozycji.

2. **„Bibliografię metodyki języka polskiego 1945—1969"**, też pod redakcją W. Szyszkowskiego (Wys. Szk. i Ped. 1974) zawierającą 7436 pozycji.

Razem oba zestawienia zawierają: 10,972 pozycje. Dodając do tego produkcję wydawniczą lat 1970—1975 można śmiało mówić o ogromnym dorobku tej nauki, którą nadal K. Lausz traktuje jako naukę młodą, na dorobku (str. 21, op. cit.).

Jeżeli już dopatrywać się **„barbarzyństwa w szkole"** to należy jednocześnie uwzględnić 3 aspekty zagadnienia:

a. materiał nauczania,

b. nauczyciel,

c. uczeń.

Jacek Indelak pominął w swych rozważaniach ucznia, który ubolewa nad niedoskonałością metodyczną swojego nauczyciela. Tylko praktyka szkolna często dowodzi, że celem bezpośrednim uczenia się młodego człowieka nie jest bynajmniej rozszerzanie swoich horyzontów. Kiedy dołożyć do tego jeszcze programy i podręczniki odległe nieco od doskonałości, to nie sposób nie zauważyć zachwiania całego procesu nauczania. Jeżeli już uczeń ubolewa nad niedoskonałością metodyczną swojego nauczyciela języka polskiego, to wypadałoby się zastanowić głębiej nad przyczynami tego zjawiska, czego Jacek Indelak nie zrobił. Gdzie szukać przyczyn? Ot, przykładowo:

1. duża rotacja kadry nauczycielskiej,

2. dodatkowe obciążenia (zbyt duże) wynikające z wychowawczo-dydaktycznej funkcji współczesnej szkoły, zwłaszcza młodych nauczycieli, tuż po studiach,

3. niewielkie nakłady książek metodycznych,

4. brak wielu pomocy naukowych w Czasie.

Jak widać zagadnienie ma o wiele szerszy zakres niż to się Jackowi Indelakowi wydawało. Z racji swojego kawalerskiego stanu mogę sobie pozwolić na głębsze zainteresowanie samą metodyką. Nie uważałbym siebie za **„barbarzyńcę w szkole"**, który nie posiada **„lejków do nalewania wiedzy"**, taka przynajmniej jest opinia dyrekcji i KOS, ale nie wszyscy z moich kolegów są kawalerami...

(Nazwisko i adres znane redakcji)

OD REDAKCJI:

Powyższy list jest wobec mnie i moich tekstów — mówiąc skromnie — nieuczciwy mógłbym go zatem z powodzeniem przemilczeć. Nie czynię jednak tego przez szacunek dla Czytelników, którym to — a nie autorowi listu — należy się parę wyjaśnień.

ŁÓDŹ

tylko dla tych, którzy związali z nim część swego życia. Po barwie ścieków i zapachu można poznać jego źródła — „Anilana", „Obrońców Pokoju", „Harnam". Tropienie to przypomina trochę sytuację myśliwego, który po śladach rozpoznaje zwierzynę. Jest to w wielu przypadkach przydatne praktycznie, gdyż pomimo wielu ostrzeżeń do kanałów wchodzą ciągle „nieproszeni goście". Ich odnalezienie w akcjach ratunkowych jest często możliwe tylko dzięki śladom, jakie zostawiają na ścianach i chodnikach kanałów. W czasie pogody z zachowaniem dużej ostrożności można tu chodzić bezpiecznie, ale w okresie ulewy jest to zupełnie niemożliwe. Poziom wody sięga wtedy często górnej części kanału, tworząc z niego rozszalały strumień wody — żywioł nie do opanowania. Zdarzało się, że ciężkie żelazne kraty znajdujące się u wylotu kanałów pod naporem wody zostają wyrwane wraz z okuciami.

4.

Opuszczamy kanał i idziemy na tzw. „gwiazdę". Jest to miejsce szczególne Po krętych żelaznych schodach schodzimy kilka metrów w dół, do maleńkiej niszy, z której wychodzi korytarz w bok, już do zwykłego kanału ściekowego Właśnie w tej maleńkiej niszy, gdzie może stanąć zaledwie kilku ludzi, znajduje się jedyny w Łodzi podziemny pomnik, a raczej płaskorzeźba przedstawiająca **W. H. Lindleya** — pierwszego budowniczego i projektanta łódzkich kanałów. Z boku widnieje pamiątkowa tablica poświęcona trzem pracownikom kanalizacji, którzy zginęli w wypadku, jaki zdarzył się w **styczniu 1957 roku.** Pod tablicą, na ceglanej ścianie wiązanka świeżych goździków.

5.

Ostatni etap mojej podróży to Stacja Oczyszczania Ścieków na Lublinku. W szczerym polu kilka niskich budynków obrośniętych topolami. Ta przestarzała mechaniczna oczyszczalnia, którą wybudowano w 1914 roku, oczyszcza 3 procent ścieków — kropla w morzu podstawowych wymagań ochrony naturalnego środowiska 45 metrów sześciennych ścieków spływa co sekunda szerokim korytem do Neru, rzeki, która istnieje tylko z nazwy. W perspektywie budowa nowoczesnej biologiczno-mechanicznej oczyszczalni ścieków dla Łodzi, Aleksandrowa, Zgierza i Pabianic — oczyszczenie ścieków będzie wynosiło 94 procent.

Wsiadamy w samochód i jedziemy do miasta. Patrzę na moich przewodników, niektórzy z nich jak pan **Marian Jachowicz**, pracują w tym nietypowym zawodzie już ponad 25 lat. Pytam, co ich pociąga w tej nie najwdzięczniejszej przecież pracy. Są skromni i traktują swój zawód jak każdy inny.

Tajemniczość?

Po kilku latach pracy w kanałach nie ma już dla nich tajemnic, ale jest coś więcej. Przywiązanie do pracy. Do ludzi, z którymi pracują wspólnie.

W ich codziennej, niebezpiecznej pracy wzajemne zaufanie, koleżeńskość, a wraz z latami przyjaźń stają się najcenniejsze.

Przygody?

Tyle ich było, nie pamiętają.

— Kiedyś młodej parze wpadła obrączka do studzienki ściekowej — wspominają. — **Wyciągnęliśmy gratis. Innym razem, jak w ZOO czyściliśmy kanał pod wybiegiem nosorożca, to zwierzę szarżowało bez przerwy na oddaloną o kilka metrów prowizoryczną kratę.**

— Czy każdy z was kąpał się w kanale?

— O, tak. Przez ten niezbyt przyjemny chrzest prędzej czy później musi przejść każdy.

Dumni są z tego, że pracują w największych (pod względem wielkości) kanałach w Polsce, którymi można przejść z Dąbrowy na Teofilów, ze Stoków aż na Lublinek.

Chwalą sobie lepsze warunki pracy.

— Teraz mamy barakowozy, nowoczesny sprzęt z RFN i Szwecji Kiedyś wszystko robiło się ręcznie, a obecnie człowiek stoi przy samochodzie i przyciska guzik. Do kanału wchodzi się tylko tam, gdzie maszyna już sobie nie może poradzić.

— Co mówią żony o waszej pracy?

— Nigdy nie były w kanałach. Znają je tylko z naszych opowiadań, tak jak większość mieszkańców Łodzi.

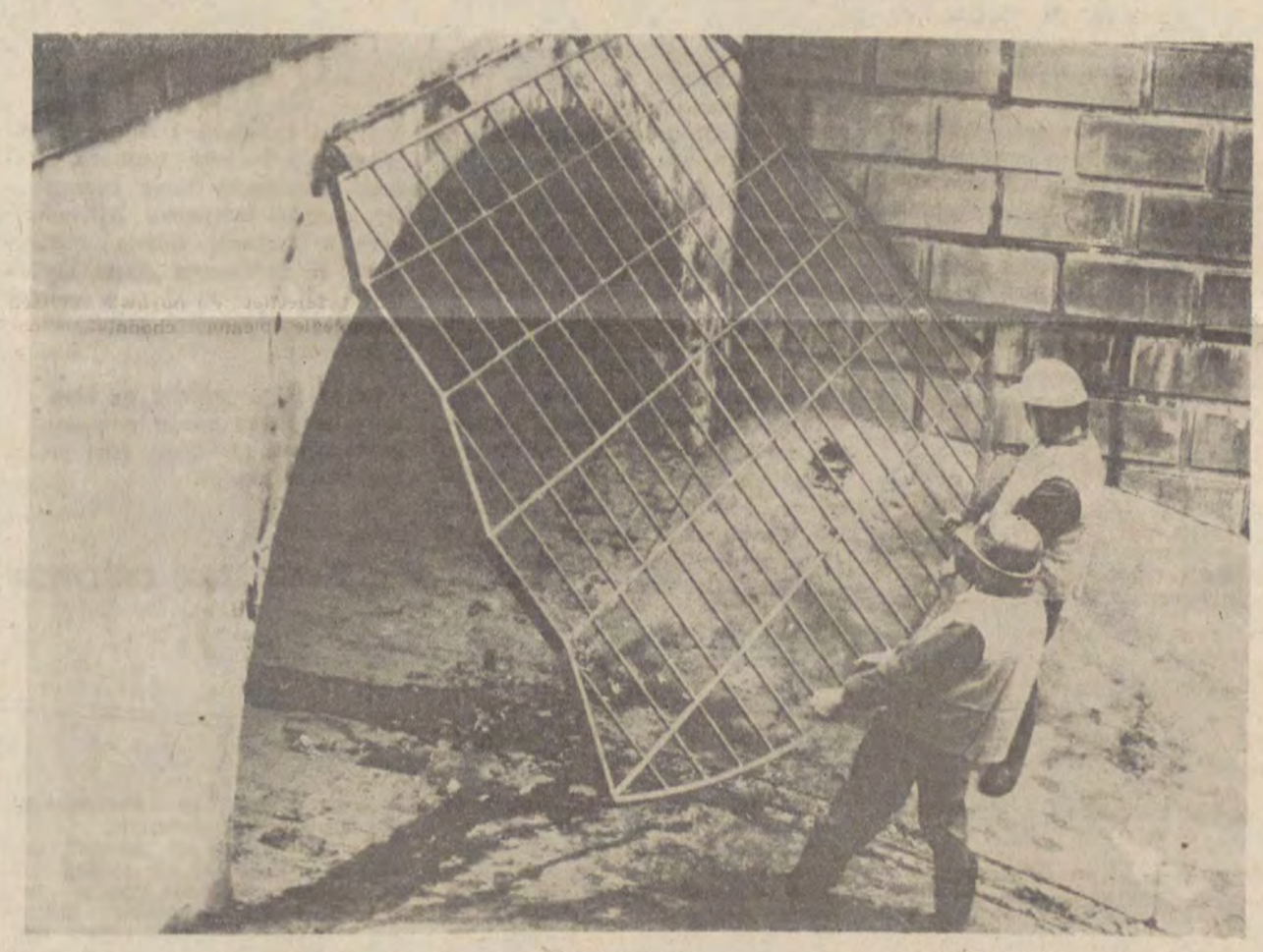

Fot. Archiwum

POLEMIKI-LISTY

1. Faktem jest, że tytuł książki prof. dra Wincentego Okonia został w moim artykule przekręcony. Czy jednak zwykła pomyłka (nieważne — linotypistv, korektv czy autora) wymaga wytaczania ciężkich dział i nazywania jej ‚fałszem' przy równoczesnym zaliczeniu do „dziennikarskich brudów"?

2. Każdy chyba naukowiec — zwłaszcza tej rangi, co doc. dr Karol Lausz — zamieszczając w swojej pracy jakąś definicję, ma zapewne świadomość, że — o ile jest słuszna — wcześniej czy później znajdzie się ona w powszechnym obiegu. Tak też stało się z niejedną definicją sformułowaną przez K. Lausza. Definicja metody nauczania — o którą zatrącił autor listu — jest w kręgach uniwersyteckich szeroko spopularyzowana: uczą się tej na pamięć studenci, asystenci cytują często na wykładach i ćwiczeniach, nierzadko przy tym nie podając źródła. Bo i po co?

Skoro definicja się przyjęła? Gdvby traktować poważnie zarzuty mojego polemisty każdego kto przytacza jakąkolwiek definicję należałoby nazwać.. plagiatorem. W moim konkretnym przypadku sprawa jest jeszcze bardziej oczywista W tekście bowiem powołuję się jednoznacznie na źródło; pisząc: Metoda? Sięgnijmy do K. Lausza „Podstawowych problemów współczesnej metodyki literatury" Metoda nauczania jest...". Definicję cytowałem z pamięci — stąd brak cudzysłowu. Gdybym go jednak użył, mój złośliwy adwersarz zarzuciłby mi zapewne fałszowanie dorobku polskiej nauki jako że w paru miejscach — jak się okazało — pamięć mnie zawiodła.

3. Zgadzam się w pełni z moim polemistą, co do tego, że najwidoczniej nie miał ..... odpowiedniego stażu zawodowego, a tym bardziej owych innych zasług..." skoro nie został zwolniony z zajęć z metodyki nauczania języka polskiego. Zgadzam się również, że nie można wyjątków traktować jako reguł. Dziwi mnie jednak, że autor listu generalizuje swój indywidualny przypadek niesłusznie rozciągając go na szeroką rzeszę nauczycieli którzy nieco później niż on sam (jak wnoszę z listu) przystąpili do uzupełniania wykształcenia i poddani zostali całkiem odmiennym rygorom niż te, które obowiązywały w poprzednim modelu wieczorowych i zaocznych studiów nauczycieli.

4. O „ważności jakiejś dyscypliny naukowej" nie zawsze bynajmniej decyduje „ilość prac związanych ściśle z tą dyscypliną". Podobno bibliografia prac traktujących o hodowli kanarków obejmuje kilkaset tysięcy pozycji we wszystkich niemal językach świata. I co z tego?

5. W końcowej partii listu jego autor — w czterech punktach — wytyka czego to ja nie uwzględniłem w moich artykułach. Gdyby uważniej przeczytał moje teksty skreślić musiałby co najmniej dwa z wymienionych punktów. Za pozostałe dwa kajać się ani myślę. Powiem więcej: mam pełną świadomość tego, że sprawa, którą poruszyłem, ma jeszcze co najmniej trzysta pięćdziesiąt tysięcy różnych aspektów, tyle mamy przecież — mniej więcej — nauczycieli zatrudnionych w naszych szkołach i placówkach opiekuńczo-wychowawczych. A każdy z nich ma pewnie osobisty pogląd na całą problematykę. Zwłaszcza, że brak poglądu podobno jest również poglądem.

Szkoda, że autor listu nie był łaskaw zabrać głosu w oparciu o argumentum ad rem. Byłaby to zapewne polemika znacznie ciekawsza.

JACEK INDELAK

„KOCHAM ŚPIEW"

Otrzymaliśmy obszerny list od mgr **Waldemara Pawłowskiego**, którego rozmowę ze słynną, włoską śpiewaczką **RENATĄ TEBALDI** opublikowaliśmy na łamach **„ODGŁOSÓW"** 13 listopada 1975 roku.

Autor owej rozmowy zwraca nam w swoim liście uwagę, że do opublikowanego tekstu wkradły się nie z jego winy przykre błędy. I tak zamiast „Verdii" — powinno być oczywiście V e r d i.

„Powinno też być — pisze mgr Waldemar Pawłowski — **A d r i a n a** Lecouvreur, **a nie „Adrianna", L e o n o r a — nie „Leonora", E r n a n i — nie „L'Hernani", bo to opera Verdiego, a nie sztuka W. Hugo, P a n i Ford — a nie „pani Ford", bo to dwuwyrazowa nazwa postaci występującej w operze..."**

Za te pomyłki przepraszamy Czytelników i autora.

Przy okazji przypominamy, dla uniknięcia ewentualnych nieporozumień, że w stopce redakcyjnej (na ostatniej stronie naszego pisma) widnieje następujące sformułowanie: **„Redakcja nie zamówionych materiałów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów".**

REDAKCJA

MIROSŁAW WOJALSKI

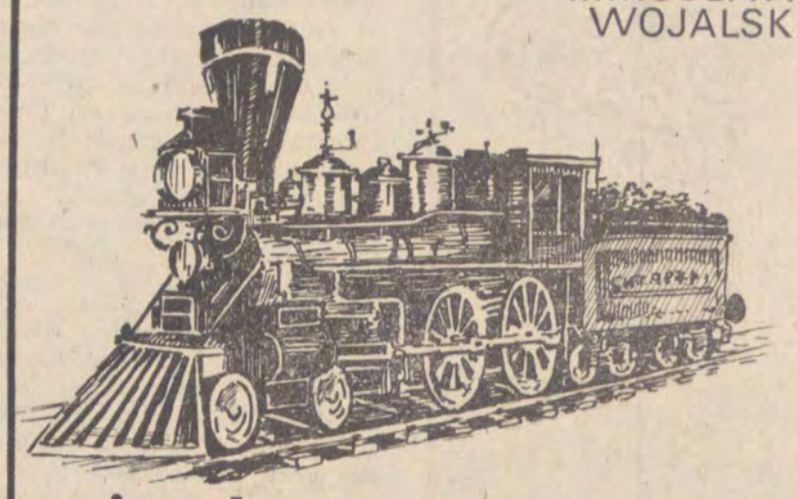

ŁÓDŹ FABRYCZNA

Pierwszy na świecie pociąg parowy odbył inauguracyjną podróż 27 września 1825 roku, przebywając 15-kilometrową trasę ze Stockton do Darlington w Anglii z oszałamiającą prędkością 12 kilometrów na godzinę. Na kontynencie europejskim podobne wydarzenie nastąpiło w 10 lat później, kiedy to król Belgów, Leopold I, dokonał otwarcia kolei, która śmigała jak błyskawica z szybkością 10,3 km/godz., pokonując odległość 20 km z Brukseli do Malines w niespełna dwie godziny.

W Polsce o budowie kolei zaczęto myśleć już w roku **1834.** Miała to być kolej **„od Warszawy do granicy austriackiej, gdzie w pobliżu znajdują się największe kopalnie i skąd sprowadza się sól z Wieliczki"** — jak to formułował **„pierwszy ogólny projekt pobudowania drogi żelaznej między Warszawą a granicą Królestwa"** złożony w 1835 r.

Trasa kolei miała prowadzić do granicy austriackiej i następnie łączyć się z linią do Wiednia, stąd nazwa Droga Żelazna Warszawsko — Wiedeńska. Budowa trwała wiele lat i napotykała rozliczne trudności przede wszystkim finansowe. Kolej tę uruchamiano stopniowo, pierwszy odcinek Warszawa — Grodzisk otwarto bardzo uroczyście **14 czerwca 1845 roku.** Następnego dnia cała prasa podała dokładne sprawozdanie z tej uroczystości, bo też kolej stanowiła dużą sensację w życiu Warszawy i nie tylko. Kursowały wtedy **„pociągi spacerowe, którymi mnóstwo osób z upodobaniem jeździło... utrzymując, że spacery wagonowe skutecznie na polepszenie zdrowia oddziaływają".**

Pod koniec **listopada 1845 roku** linia kolejowa dochodziła już do Skierniewic i Łowicza, a **15 kwietnia 1848 roku** oddano do użytku ostatni odcinek Ząbkowice — Granica. Ale pierwsza na ziemiach polskich linia kolejowa połączyła wcześniej, bo **w 1842 roku Wrocław z Oławą.**

Przewóz towarów przede wszystkim, ale i podróżnych kolejami okazał się sprawny, dość szybki, a nade wszystko opłacalny, przeto nic dziwnego, że fabrykanci łódzcy zaczęli z niej korzystać, a najbliższą stacją okazały się Rokiciny. Dlatego też **„dla udogodnienia komunikacji z miasta Łodzi do stacji Kolei żelaznej w Rokicinach władza wyższa zarządziła w roku 1847 budowę szosy na pomienionym trakcie pod administracją prezydenta m. Łodzi".**

Fabrykanci łódzcy wysuwali też projekty wybudowania linii kolejowej łączącej Łódź z koleją Warszawsko — Wiedeńską w Rokicinach, a wkrótce Warszawsko — Bydgoską w Krośniewicach. Wysiłki te uwieńczone zostały powodzeniem dopiero w **1865 roku,** kiedy to 30 lipca car wydał zezwolenie na budowę Drogi Żelaznej Fabryczno — Łódzkiej i utworzenie towarzystwa akcyjnego tej budowy. Prezesem Rady Towarzystwa Drogi Żelaznej Fabryczno — Łódzkiej mianowano Jana Blocha, który miał już w tej dziedzinie pewne doświadczenia, a poza tym miał... wpływy w Petersburgu.

Kolej Fabryczno — Łódzka połączyć się miała z koleją Warszawsko — Wiedeńską nie w Rokicinach, ale gdzieś między Rokicinami i Rogowem. Wybór padł na Koluszki. Od administracji kolei warszawsko — wiedeńskiej spółka otrzymała część zabudowań dworca w Koluszkach — można je było zobaczyć jeszcze przed 15 laty.

Trasa biec miała przez **„grunta wsi Żukowice, kolonij Borowo, wsi Gałkowa, Kolonii Janówek i Justynów, przechodziła do wsi Bedonia, po moście".** Most ten był **„portretowany fotograficznie"** przez znanego fotografa warszawskiego, Karola Beyera. Z fotografii sporządzono drzeworyt w formacie 8 × 13 cm i opublikował go **„Tygodnik Ilustrowany"** w 1866 r. Reprodukcję znaleźć możemy w książce Ireny Popławskiej: **„Dawna Łódź w obrazach".**

Roboty rozpoczęto **1 września 1865 roku.** Szyny zaczęto układać jednocześnie z dwu stron od Łodzi i od Koluszek. Przy pracach ziemnych zatrudnionych było 2400 robotników. Kosztorys budowy kolei opiewał na sumę prawie 1 miliona 300 tysięcy rubli, ale dzięki swoistym „oszczędnościom", a ściśle — wyzyskowi robotników koszty budowy były niższe od planowanych, przynosząc akcjonariuszom dodatkowe zyski. Już **18 listopada 1865 roku** główny inżynier Drogi Żelaznej Fabryczno — Łódzkiej — Hipolit Cieszkowski, mógł zameldować prezesowi Janowi Blochowi o całkowitym zakończeniu robót torowych przy budowie tej 25,5-wiorstowej (nieco ponad 27 km) linii. Dworzec kolejowy (obecny Fabryczny) miał być wybudowany później. Tory i tereny kolejowe sięgały do ulicy Dzikiej (obecnie Sienkiewicza).

Nazajutrz — **19 listopada 1865 roku** nastąpiła uroczystość otwarcia linii.

„Był to dla Łodzi dzień wielki i pamiętny, a z jaką obchodziła go świetnością, o tym szeroko doniosły swego czasu dzienniki krajowe" — pisał Oskar Flatt.

Czasopismo **„Ekonomista"** w taki oto sposób informowało opinię publiczną o ukończeniu w ciągu niespełna 3 miesięcy przedsięwzięcia Jana Blocha:

„Droga Żelazna Fabryczno — Łódzka, otwarta 19 listopada, łączy najznaczniejsze fabryczne miasta Królestwa z siecią ogólną dróg żelaznych. Nie jest ona jeszcze zupełnie urządzona dla publiczności, nastąpi to dopiero z przyszłą wiosną, ale już mogą się odbywać transporty, zwłaszcza dowóz materiału opałowego tyle dla Łodzi ważnego. Do stanu takiego roboty doprowadzone zostały z nadzwyczajną szybkością".

Klimat tymczasowości panował przez długi czas, pomnażając zyski akcjonariuszy.

W 1866 roku nową koleją sprowadzono do Łodzi niespełna 5 tysięcy ton surowców i paliwa, zaś po 16 latach kolej Fabryczno — Łódzka przewoziła już ponad 40 tysięcy ton towarów rocznie. **Regularna komunikacja towarowa i osobowa zorganizowana zostało dopiero w 1866 roku.** Wnikliwy badacz dziejów Łodzi, Anna Rynkowska, uprzystępniła nam w jednej ze swoich książek nader ciekawy dokument, jakim było pismo z **20 maja 1866 roku** naczelnika ruchu Drogi Żelaznej Fabryczno — Łódzkiej, Fryderyka Olexa do Zarządu Policji m. Łodzi w sprawie pierwszego rozkładu jazdy dla pociągów odjeżdżających z Łodzi do Koluszek:

„Niniejszym mam honor donieść Zarządowi Policji, że począwszy od dnia 1 czerwca br. ruch osobowy i towarowy na Drodze Żelaznej Fabryczno-Łódzkiej urządzony zostaje w następujący sposób: pociąg towarowo-osobowy wychodzić będzie z Łodzi o godzinie 12 minut 23 w południe, stawać w Andrzejowie o godzinie 12 minut 50, przybywać do Koluszek o godzinie 1 minut 20. Z Koluszek wychodzić będzie o godzinie 2 minut 35 po południu, stawać w Andrzejowie o godzinie 3 minut 2 i przybywa do Łodzi o godzinie 3 minut 32, czyli, że w obu kierunkach dziennie tymczasowo tylko po jednym pociągu kursować będzie".

Rychło jednak przestano zachłystywać się nowością, cudownością i doskonałością, a zdawać sobie zaczęto sprawę z rzeczywistych niedoskonałości działania tej kolei. Ówczesny dziennikarz, Adolf Starkman, pisał w roku 1895:

„Jakkolwiek odległa od Warszawy o cztery godziny drogi — nawiasem mówiąc ciężkiej drogi, gdy zważywszy, że od Koluszek ciągnie pasażerów ślimaczy pociąg Przedsiębiorstwa Kolei Fabryczno — Łódzkiej — jest Łódź dotąd jeszcze dla Warszawy „terra incognita..."

FESTIWAL TEATRALNY W ŚLĄSKIM ZAGŁĘBIU KULTURY

W Katowicach w pierwszej połowie listopada odbył się **II Ogólnopolski Festiwal Dramaturgii Krajów Socjalistycznych.** W imprezie tej uczestniczyły następujące spektakle: **Teatr Polski z Warszawy** zaprezentował sztukę radzieckiego pisarza **Aleksandra Wampiłowa „Zeszłego lata w Czulimsku", Teatr Ziemi Mazowieckiej — „Tę małą ziemię" Georgi Dżagarowa** (Bułgaria), **Bałtycki Teatr Dramatyczny z Koszalina — „Solo na zegar z kurantem" Osvalda Zahradnika** (Czechosłowacja), **Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego — „Bank Glembay LTD" Miroslava Krleży** (Jugosławia), **Teatr im. W. Bogusławskiego — „Trzeci wiek" Leny Foellbach** (NRD), **Teatr Polski z Bydgoszczy — „Źródło" Marina Sorescu** (Rumunia), **Teatr „Wybrzeże" z Gdańska — „Ostatnie dni Csaka" Imre Madacha** (Węgry). Festiwalowy przegląd zamknął **Teatr Współczesny z Warszawy** nową tegoroczną inscenizacją **„Rzeczy listopadowej" Ernesta Brylla.**

W imprezie, która trwała osiem dni, wprowadzając znaczne ożywienie w życie kulturalne Katowic, wzięli udział przedstawiciele władz partyjnych i państwowych, liczni krytycy teatralni z całego kraju, ludzie teatru. Przybyły także delegacje zagraniczne ze **Związku Radzieckiego, Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Rumunii.** Na czele delegacji radzieckiej stał dyrektor departamentu teatrów Ministerstwa Kultury ZSRR, Gieorgij Iwanow. Obecny był także autor jednej z wystawionych sztuk, pisarz rumuński M. Sorescu. Przez osiem dni co wieczór sala Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego wypełniona była po brzegi.

Powyższe fakty dają pewien pogląd na rozmiary festiwalu katowickiego. Tylko pewien, bowiem osiem zespołów teatralnych z sześciu ośrodków kraju zostało komisyjnie zakwalifikowanych do udziału w imprezie zamykającej festiwal. Liczba sztuk reprezentujących w tym roku na polskich scenach dramatopisarstwo krajów socjalistycznych, a tym samym uczestniczących w festiwalu, była znacznie większa. Festiwal stanowił dla wielu zespołów atrakcyjną zachętę do wystawienia w tym roku sztuk pochodzących z krajów socjalistycznych.

Trzeba w tym miejscu zamieścić bynajmniej nie kurtuazyjną pochwałę świetnej oprawy i atmosfery, jaką dla festiwalu stworzyły Katowice i górniczy Śląsk. Organizatorzy tegorocznej imprezy mają już wieloletnie doświadczenie w zakresie pracy nad zbliżeniem kultur krajów socjalistycznych. Od kilkunastu lat organizowane są w Katowicach festiwale sztuk radzieckich i rosyjskich. Przeglądy te zdobyły już sobie w kraju i za granicą poważny autorytet. **I Festiwal Ogólnopolski Dramaturgii Krajów Socjalistycznych odbył się tu w 1971 roku.** Zaprezentowano na nim również osiem sztuk.

Tegoroczny festiwal otworzyła sztuka niezmiernie interesująca, a fakt, że pokazana została przez jeden z czołowych teatrów w Polsce i w świetnej obsadzie, przyczynił się do uświetnienia pierwszego wieczoru, wyznaczając jednocześnie wysoki kierunek lotu całej imprezie.

Autor sztuki, **Aleksander Wampiłow** (1937—1972), należy do najciekawszych dramaturgów radzieckich ostatniego dziesięciolecia. Urodzony we wsi Kutulik w obwodzie irkuckim, wśród syberyjskiej tajgi, z mieszanego małżeństwa rosyjsko-buriackiego, zadebiutował w 1966 roku sztuką „Rozstanie w czerwcu", która zwróciła na niego uwagę krytyki i publiczności. Świetnie zapowiadającą się twórczość Wampiłowa przerwana została tragiczną śmiercią młodego pisarza (utonął w czasie przejażdżki motorówką po Bajkale). Dziś sztuki Wampiłowa grane są przez liczne teatry radzieckie i zagraniczne w 39 krajach. W Polsce, obok granej na Wybrzeżu i w Warszawie sztuki „Zeszłego lata w Czulimsku", wystawiono jeszcze jego dwie jednoaktówki pod wspólnym tytułem „Anegdoty prowincjonalne". O wprowadzeniu do repertuaru jeszcze w tym sezonie „Rozstania w czerwcu" myśli Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej.

Aleksander Wampiłow dobrze reprezentował współczesną dramaturgię radziecką na festiwalu katowickim. Jego pisarstwo jest szczere, męskie, wyprane z łatwego optymizmu. Czulimsk to małe miasteczko w tajdze, rzucone daleko od ośrodków kultury. Życie toczy się tu pozornie leniwym, nudnym nurtem. Ludzie poruszają się sennie, jakby zrezygnowani i wyzbyci wszelkich aspiracji. Tymczasem pod cienką osłoną zewnętrzną pulsują gorące uczucia i namiętności. Bohaterowie toczą sami w sobie walkę z podłością i z postawą nieprzeciwstawiania się złu, które krzewi się wokół nich.

Tę gorącą lawę uczuć i trudne zwycięstwa nad własnym oportunizmem odnoszone przez postaci sztuki prezentują nam koncertowo wykonawcy przedstawienia, a przede wszystkim **Tadeusz Fijewski** (wspaniała kreacja starego człowieka z tajgi — Jeremiejewa), **Józef Nalberczak, Stanisław Niwiński, Krystyna Królówna i Jan Kobuszewski.** Przedstawienie, którego dewizą jest prostota i szczerość wyrazu, wyreżyserowała sprawnie **Anna Minkiewicz.**

Foto: Al. Jałosiński

Z innych przedstawień, jakie oglądałem w Katowicach, szczególnie wysoko oceniam „Solo na zegar z kurantem" **O. Zahradnika** ze względu na walory poetyckie i emocjonalne tekstu. Szkoda, że zagrane było dość nierówno. Rola **Ewy Nawrockiej** (Pani Conti) zarejestrowała mi się jednak w pamięci.

Podkreślenia wymaga fakt, że cały repertuar festiwalu skierowany był na współczesność i jej ważne problemy (choćby sprawa ochrony naturalnego środowiska człowieka w sztuce G. Dżagarowa „Ta mała ziemia"). Jedynie **Teatr „Wybrzeże"** sięgnął do węgierskiej klasyki, wystawiając historyczną sztukę **„Ostatnie dni Csaka"** (w której występuje postać polskiego królewicza Kazimierza, późniejszego króla Kazimierza Wielkiego). Autorem sztuki jest pisarz romantyczny współczesny Petoefiemu i Jokaiowi — I. Madach.

Wrażeniom artystycznym, jakich nie skąpił festiwal katowicki, towarzyszyły żywe kontakty ludzi teatru z krajów socjalistycznych. Organizatorzy zapewnili gościom wiele imprez towarzyszących, m. in. wspaniałą wycieczkę, na budowę Huty „Katowice", potężnej inwestycji, którą od pierwszego spustu stali dzieli już tylko niespełna rok, a której produkcja po 1980 roku wynosić ma 9 milionów ton stali rocznie (dla porównania: wszystkie huty w Polsce wyprodukują w roku bieżącym 15,5 mln. ton stali). Dalej goście zagraniczni i krajowi festiwalu zwiedzali Górnośląski Okręg Przemysłowy, muzeum interierów XIX-wiecznych w Tychach, miasto Bielsko-Białą — producenta „Fiata 126", a także byli na spektaklach w teatrach śląskich: w Zabrzu, Bielsku-Białej i Sosnowcu.

Górny Śląsk pokazał się nam nie tylko od strony swego gospodarczego bogactwa, ale także jako prężne zagłębie kulturalne.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

KOMU BILET DO TEATRU?

Bilet do teatru przestał niestety być nagrodą, prezentem. Bilet teatralny wciskany do ręki przez zakładowego kolportera bywa utrapieniem. Odmówić przyjęcia tak po prostu, ponieważ nie mam ochoty iść do teatru — nie wypada. Powiedzą ciemniak. Lepiej już wziąć i zapłacić parę złotych — Rada Zakładowa dopłaca 50 proc. — i mieć święty spokój. Może ktoś z rodziny pójdzie? Może znajomy? Z rodziną różnie bywa, też mają obowiązki; zajęcia, Znajomy wyłga się pod byle pretekstem, a zresztą obdarowany biletem do teatru zada z całą pewnością kilka kłopotliwych pytań: co to za sztuka? czy dobra? dlaczego sam nie idziesz?

Kasy większości naszych teatrów biletów nie sprzedają — od tego jest Biuro Obsługi Widowni, dawniejsza „organizacja widowni" Kasy, przed rozpoczęciem spektaklu nie posiadają biletów, a na widowni zdarza się, że połowa miejsc jest wolna. W księgowości teatru liczą przecież nie widzów na sali, ale bilety „rozprowadzone" po cenach normalnych czy ulgowych, to nie ma większego znaczenia, ponieważ istnieje plan, w którym wyraźnie powiedziane jest, ile tysięcy widzów ma w roku budżetowym obejrzeć określoną ilość spektakli. Do biletów normalnych, jak wiadomo, państwo także dopłaca i jest to z całą pewnością zasada słuszna. Ale czy równie słuszne jest istnienie kas bez biletów i rozbudowanych urzędów organizacji widowni?

Kim jest szef i personel Biura Organizacji Widowni? Szef jest urzędnikiem obdarzonym zmysłem handlowym, do jego obowiązków należy sprzedaż wszystkiego co teatr wyprodukuje; bubli oczywiście także. Personel szefa w zależności od teatru składa się z kilku urzędniczek; liczą, wypełniają kwity, raporty i odbierają telefony. Szef rządzi urzędnikami i reklamą, prowadzi rozmowy z kolporterami a czasem i z dyrektorem teatru.

Życie szefa Biura Organiazcji Widowni nie jest lekkie. Nie ma on praktycznie żadnego wpływu na repertuar, obsadę, reżysera, scenografa. Już słyszę głosy protestu kierowników artystycznych i aktorów: tego by jeszcze brakowało, żeby urzędnik od biletów mieszał się do spraw sztuki! I nie sposób byłoby odmówić pewnej racji oburzonym głosom, gdyby nie drobny fakt — likwidacja, powiedzmy z dniem dzisiejszym, Biur Organizacji Widowni doprowadziłaby w ciągu kilku tygodni do absolutnej plajty finansowej wszystkie nasze teatry. Postawmy sobie jeszcze jedno pytanie: a czy likwidacja kas byłaby równie katastrofalna dla teatrów? Śmiem twierdzić, że nie!

Oczywiście mile panie kasjerki mają trochę biletów, są to zwroty lub drobna rezerwa pozostawiona na wypadek, gdyby komuś przyszła do głowy niedorzeczna myśl nabycia biletu bez pośrednictwa kolportera. Bywa, że kasjerka ma wszystkie bilety, bo kolporterzy odmówili rozprowadzenia ich, wtedy teatr po prostu nie gra, bo nie ma dla kogo. Historia notuje takie przypadki.

Szef Biura Organizacji Widowni nie ma lekkiego życia. Kierownik artystyczny teatru dla poprawienia planu usług decyduje się wystawić — jak to się popularnie mówi — lekturę szkolną. Może to być „Placówka", ale niekoniecznie „W pustyni i w puszczy". Kierownik artystyczny zaciera ręce, szef Biura Organizacji Widowni wprost przeciwnie — rozkłada ręce. Szkoły przyjdą jeśli kuratorium poprze — a „Placówkę" czy „Janka Muzykanta" poprze na pewno — ale co z widownią dla dorosłych? Oni nawet „Marię Stuart" i „Hamleta" uważają za lektury i nie chcą oglądać.

Młodzież szkół podstawowych da się przyprowadzić do teatru za rękę, gorzej z licealistami. Oni już chcą wiedzieć, na co idą i po co? Czego mogą spodziewać się od teatru? A jest już i taka młodzież, uświadomiona dobrym filmem i świetnym (czasem) teatrem telewizyjnym, że pyta: za co mają iść na spektakl? I nie chodzi tu o pieniądze, zapłacą rodzice, ale oni chcą wiedzieć... za jakie grzechy mają iść do teatru?

Trochę przesadziłem, ale który z teatrów ma repertuar dla dorastającej młodzieży? A może wszystkie trzy łódzkie zespoły razem wzięte dysponują odpowiednimi propozycjami? Oczywiście, że nie ma takich propozycji, bo jak twierdzą niektórzy kierownicy artystyczni teatrów — takich sztuk nikt nie pisze. Gra się więc to, co dla dorosłej publiczności, tylko po ulgowych cenach i w popołudniowych godzinach.

Rozprowadzanie biletów drogą kolportażu jest wykształconym przez lata lenistwem pospolitym czyli wulgarnym. Zasada przyświecająca powołaniu kolporterów była w swoim czasie pożyteczna — wtedy, gdy ludzie jeszcze chodzili do teatrów rzekłbym spontanicznie. Kolejki przy kasach teatralnych zniechęcały mało odpornych; zdarzało się, że biletów nie było na kilka dni wcześniej, ale to już jest legenda. Dziś biletów nie ma w kasie, ponieważ szefowi Biura Organizacji Widowni udało się je upłynnić kilku zakładom pracy albo sprzedać cały spektakl w charakterze części artystycznej po akademii.

Bywało, że szło się do teatru a nie na spektakl. Dziś każdy nabywca biletu, także i ten z 50-procentową zniżką, chce widzieć co się gra i czy warto to obejrzeć? Kolporter wie niewiele. Biuro Organizacji Widowni wie znaczniej więcej, ale cierpi na niedostatek materiałów reklamowych w rodzaju ulotek ze streszczeniem, darmowych programów itp.

Na teatr można się „naciąć" dwa albo trzy razy, ale nie więcej. Jeśli organizatorzy widowni wlepią dużą ilość biletów pracownikom zakładu na liche przedstawienie, spalą sobie teren. Nie pójdą nawet na „Operetkę" Witolda Gombrowicza ani na „Dialogus de passione" do Teatru Nowego.

Szef Biura Organizacji Widowni nie ma łatwego życia. Jego obowiązkiem jest sprzedać absolutnie wszystko co teatr wystawia. Zdarza się, że słabe sztuki miernie wystawione — niekoniecznie komedie — idą w teatrach dłużej przy tzw. pełnej widowni (teoretycznie rzecz jasna) niż dobre sztuki dobrze grane. W głównej mierze zależy to od stopnia rozwoju zmysłu handlowego pracowników Biura Organizacji Widowni i sprytu kolporterów. O tym, że jedni i drudzy nie robią tego za darmo, nikogo nie trzeba przekonywać.

Przywrócić więc rangę starym kasom teatralnym? Ryzykowne posunięcie, ale w przyszłości — jak sądzę — jedyne. Reklamować trzeba nawet i dobre spektakle. W miejsce Biur Organizacji Widowni powołałbym jednoosobowy urząd reklamy i nie żałowałbym pieniędzy na tak zwaną „propagandę wizualną". Na frekwencję w trzech łódzkich teatrach dramatycznych winna — w moim odczuciu — wpływać przede wszystkim konkurencja! Trzy różne teatry z różnym repertuarem, ale i z różnymi problemami, stylem, ideą artystyczną.

Pytanie: komu bilet do teatru? może zadać tylko kasjerka a odpowiedzi udzielić powinna grzecznie stojąca w kolejce — publiczność — w tym wyjątkowym przypadku kolejki zawsze dobrze świadczą o firmie i o klientach.

STEFAN KUBICKI

U PRZYJACIÓŁ

W ostatnich dniach odbyła się w Związku Pisarzy Federacji Rosyjskiej dyskusja poświęcona współczesnej komedii filmowej. Na 140 produkowanych w ZSRR w ciągu roku filmów fabularnych „Mosfilm" wypuszcza ok. 20 filmów komediowych. I problem nie polega na tym, mówiono w dyskusji — czy to mało czy dużo — istotny jest fakt, że są to często dzieła niezbyt wysokiego lotu. A przecież — wspominano ze wzruszeniem — radziecka komedia filmowa ma tak wspaniałe tradycje.

Mając na względzie ogromne znaczenie w wychowaniu społecznym tak popularnego gatunku, jakim jest satyra, a więc film komediowy, uczestnicy spotkania: pisarze i filmowcy wysunęli szereg konkretnych postulatów, które powinny przynieść radykalne zmiany w zakresie tej twórczości. Pod okiem wytrawnych znawców kształcić się będą kadry reżyserów i scenarzystów na kursach we Wszechzwiązkowym Głównym Instytucie Kinematografii. Przewiduje się organizowanie zamkniętych i ogólnie dostępnych konkursów na scenariusze komedii filmowych.

* * *

W studium „Lenfilma" trwa obecnie praca nad ekranizacją dla telewizji powieści Gieorgija Markowa „Stroganowowie". Reżyseruje Włodzimierz Wengierow, znany z wielu adaptacji filmowych dzieł pisarzy radzieckich. Rolę Matwieja Stroganowa powierzono aktorowi MCHAT Borysowi Borysowowi, Annę Stroganową będzie grała Ludmiła Zajcewa. W serialu występuje ok. 80 aktorów. Jeden z epizodów zagra Bułat Okudżawa.

* * *

Wieloletnia praca badawcza naukowców Instytutu Archeologii Akademii Nauk Ukrainy przyniosła wreszcie owoce. Można było przystąpić do odtworzenia obrazu dawnego Kijowa. Jak wyglądał gród nad Dnieprem w początkach swego istnienia pokazują makiety budynków i ulic miasta z tamtego okresu. O istnieniu śladów wielu budowli do niedawna nic nie wiedziano. Na archeologiczną mapę Kijowa naniesiono również „Czerwony Dwór" księcia Wsiewołoda Jarosławicza — obiekt o którego lokalizację specjaliści toczyli wieloletnie spory.

* * *

Zniszczony w czasie II wojny światowej XVIII-wieczny kościół św. Mateusza w Dreźnie będzie odbudowany. Obiekt ten należał do najwybitniejszych budowli architektury barokowej. Jego projektantem był słynny architekt Matthias Daniel Poeppelmann, twórca m.in. słynnego drezdeńskiego Zwingera, gdzie mieści się znana w całym świecie galeria obrazów.

* * *

W Nowym Sadzie, stolicy jugosłowiańskiego autonomicznego okręgu Wojwodina oddano do użytku nowoczesny ośrodek telewizyjny, który, jako jedyny w Jugosławii i chyba na świecie nadaje program w pięciu językach: serbo-chorwackim, węgierskim, słowackim, rumuńskim i rosyjskim. Okręg Wojwodiny zamieszkują przedstawiciele przeszło 20 narodów i narodowości. Większość stanowią mieszkańcy mówiący po węgiersku i rumuńsku.

Program z ośrodka w Nowym Sadzie będą mogli odbierać również telewidzowie Węgier i Rumunii.

* * *

Wydawnictwo „Aufbau Verlag" w NRD wydało książki Anny Seghers o łącznym nakładzie 2,5 miliona egzemplarzy. Tylko powieść „Siódmy krzyż" miała aż 44 wydania.

Z okazji 75-lecia urodzin autorki wydano w NRD pierwsze cztery tomy dzieł zbiorowych Anny Seghers oraz „Almanach o Annie Seghers". Telewizja NRD przygotowała także film o życiu i twórczości tej autorki według książki Sigrida Bocka.

* * *

W Tbilisi odbył się VI Wszechzwiązkowy Festiwal Filmów Telewizyjnych. Nagrodę za najlepszą rolę kobiecą otrzymała na festiwalu polska aktorka Barbara Brylska, za rolę w radzieckim filmie „Ironia losu".

PORTUGALIA (II)

DWIE PODRÓŻE generała SPINOLI

Portugalski wywiad wojskowy wykrył, że żołnierze „Portugalskiej armii wyzwolenia" (portugalska nazwa: PAL) są uzbrojeni w pistolety maszynowe z tłumikami systemu „Scorpion". Skojarzono to z machinacjami kompani „Paladin", założonej przez Heren-Seraca, która już nieraz prowadziła werbunek najemników i uzbrajała ich w broń. To ona właśnie za pośrednictwem firmy „World Arms Company", dostarczała agentom „Aginterpresse" pistolety maszynowe systemu „Scorpion".

Idąc tym śladem wykryto, że kompania „Paladin" działała z Barcelony i zamieszczała w portugalskich gazetach zakamuflowane ogłoszenia. Pracownicy kontrwywiadu przewertowali gazety portugalskie i trafili na kolejną niespodziankę: akcja werbunkowa trwała już od dawna! W gazetach Lizbony i Porto zamieszczano ogłoszenia tej treści: „Chcesz zarobić dużo pieniędzy? Proponujemy wszystkim możliwość zarobienia 15 tysięcy escudo miesięcznie. Napisz nie zwlekając do Międzynarodowego Zielonego Krzyża. Skrytka pocztowa 12105. Barcelona..."

15 tysięcy escudo — to pensja portugalskiego ministra. Czymże więc zajmuje się Międzynarodowy Zielony Krzyż? A właśnie — hodowlą grzybów! Pracownicy portugalskiego wywiadu są przekonani, że jest to agenturalna przykrywka, i mają na to dowody. Bo i po co Hiszpania musi werbować w Portugalii ludzi do hodowli grzybów, proponując im tak wysokie zarobki?

Samochody z portugalską rejestracją

„Portugalska armia wyzwolenia" jest organizacją, która stawia sobie za cel „przy pomocy psychologicznej i praktycznej działalności odsunąć marksistów od władzy w Portugalii", taka jest treść dokumentu nr 2 propagandowego wydziału PAL. PAL jest podzielona na komórki (maksymalna liczba członków — 7 ludzi) i posiada pięć wyspecjalizowanych wydziałów: polityczny, informacyjny (polityczny i wojskowy), bezpieczeństwa, psychologiczny i zaopatrzenia. Zadaniem agentów jest przenikanie do armii portugalskiej, do partii politycznych, do skrajnie lewicowych organizacji, agenci PAL zabiegają bowiem o niezawodną „przykrywkę". W działaniu, agenci PAL podlegają ścisłym regułom dyscypliny i hierarchii. Organizacyjna struktura „Portugalskiej armii wyzwolenia", nawet w szczegółach, nie odbiega od struktury „Aginterpresse". Jak wiadomo „Aginterpresse" przeniknęła do skrajnie lewicowych ruchów europejskich żeby — wykorzystując tę idealną polityczną zasłonę i doskonałe metody psychologiczne — dokonywać aktów sabotażu, zamachów i innych podobnych akcji. Mając w ręku te wszystkie dane, pracownikom lizbońskiej służby wywiadowczej pozostało już tylko zbadanie efektywności PAL, dokładne poznanie sfer jej działania oraz ustalenie, kto nią kieruje i kto ją finansuje.

Przez kilka miesięcy śledzono portugalskich emigrantów w Madrycie. Wyniki tej obserwacji okazały się w najwyższym stopniu interesujące. Stwierdzono, iż w jednej z ekskluzywnych dzielnic Madrytu, w pobliżu alei Generalissimusa Franco, często goszczą samochody z portugalską rejestracją. Zapisano ich numery i stwierdzono do kogo należą. Kiedy w tej samej dzielnicy, na ulicy kapitana Aya, zaobserwowano samochód Jose Rebordana Estevasa Pintu (jednego z mężczyzn, którego sfotografowano w Salamance) oraz samochód kapitana Francisco Javiera Damianu di Braganca Van Udena, pracownicy portugalskiego wywiadu nie mieli już wątpliwości że wykryli centralny ośrodek koncepcyjno-dyspozycyjny PAL, mózg organizacji. Istotnie informacje, które otrzymała lizbońska służba wywiadowcza świadczyły wyraźnie, że Estevas Pintu zajmuje drugą pozycję w hierarchii przywódców PAL, a kapitan Van Uden — czwartą.

Wiele innych prywatnych samochodów z portugalską rejestracją, parkujących na ulicy kapitana Aya należało do wpływowych działaczy opozycji: wojskowych, przemysłowców (chemiczny koncern KUF, największy w kraju, obecnie znacjonalizowany), finansistów (Banca International) i działaczy politycznych. Wieczorami, w jednej z najbardziej ekskluzywnych madryckich restauracji „Sabre" mówi się tylko po portugalsku. Dziesiątki młodych ludzi szasta pieniędzmi, spędza tu tydzień — dwa i znika. Są to Brazylijczycy, uciekinierzy z Angoli, a także faszyści i byli pracownicy PIDE. Dokąd jadą? Gdzie mieszkają? Początkowo wykryto, że mieszkają w kilku pensjonatach w centrum Madrytu i w pewnych mieszkaniach przy ulicy Ibis. Później wyjaśniono, że wyjeżdżają do rejonów graniczących z Portugalią. Właśnie tam uruchomiono obozy wojskowe „Portugalskiej armii wyzwolenia". Rozlokowano je w prowincjach: Uelva, Valencia de Alcantara, Sevilla, Badajoz i Salamanca, w dużych majątkach ziemskich. Jedna z takich majętności, w Olivense leży akurat nie opodal granicy hiszpańsko-portugalskiej. Właśnie w tym majątku pracuje jedna z dwóch radiostacji (zainstalowanych na samochodach ciężarowych), które bez przerwy, przez całą dobę, nadaje w języku portugalskim programy wymierzone w lizbońskie władze wojskowe. Druga radiostacja transmituje programy z Uelva. Jest zainstalowana w ogromnym majątku znanego wytwórcy win i organizatora corrid.

Dwie strony medalu

Ilu ludzi liczy „Portugalska armia wyzwolenia"? Pracownicy lizbońskiego wywiadu wojskowego oceniają, że w obozach rozrzuconych w Hiszpanii skoszarowano około 4 tysięcy uzbrojonych i wyszkolonych ludzi. Wielu z nich zwerbowano spośród portugalskich emigrantów przebywających w Hiszpanii, których liczba szybko wzrosła po rewolucji w Portugalii (ogółem około 80 tysięcy osób). Inni uciekli do Hiszpanii z kolonii portugalskich. Jeszcze inni są Brazylijczykami skierowanymi do Hiszpanii przez ultraprawicową organizację pod nazwą „Niech żyje Portugalia!" I wreszcie jeszcze inni — to najmnicy. Francuzi z OAS, ci sami, którymi Heren-Serac posługiwał się w „Aginterpresse". Mówi się, że w PAL są także Niemcy, Włosi i około 50 Szwedów zwerbowanych w Afryce. Wiadomo na pewno, że instruktorem tej „armii" jest pułkownik Schramm, ten sam, który po akcjach swoich najemników w Kongo i Biafrze zyskał w świecie ponurą sławę. Spośród portugalskich instruktorów, lizbońska służba wywiadu wojskowego wymienia pułkownika Cantu Cabusa i byłego dowódcę PIDE — Barbieri Cardosa. 4 tysiące uzbrojonych żołnierzy PAL to jeszcze nie wszystko. Należy do nich dodać także tych, którzy już przeniknęli do Portugalii i zostali tajnie uzbrojeni. W sumie „Portugalska armia wyzwolenia" liczy około 17 tysięcy ludzi.

W początkach lipca br. lizbońskie władze wojskowe miały już wyraźnie sprecyzowany pogląd na działalność PAL, lecz wiedziały także, że obraz nie jest jeszcze pełny. Przede wszystkim dziwiło to, iż organizacja głosząca otwarcie że jest ugrupowaniem skrajnie prawicowym (a zatem mająca mało szans na zdobycie władzy po 50 latach rządów faszystowskich) jest aż tak wpływowa i dobrze zorganizowana. Poza tym nie znano źródeł jej finansowania.

Tajemnicę odkryto akurat w lipcu tego roku. A było to tak: w odosobnionym, luksusowym domu, w którym często goszczą członkowie PAL, przy ulicy kapitana Aye 41, w Madrycie, przez pewien czas mieszkał generał de Spinola. Władze wojskowe w Lizbonie mają na to dowody. Spinola mieszkał w mieszkaniu oznaczonym symbolem „E", na IX piętrze. A zatem „ruch" Spinoli (tzw. „demokratyczny ruch o wyzwolenie Portugalii" — portugalski skrót: MDLP) i „Portugalska armia wyzwolenia" — to jedno i to samo. Dwie strony jednego medalu: demokratyczna, na pierwszy rzut oka, i wywrotowa, paramilitarna. I właśnie ta organizacyjna metoda nosi na sobie znamię Heren-Seraca.

Spotkanie ze Straussem

Pozostaje tylko prześledzić, krok za krokiem, manewry de Spinoli w Europie. Były one bardzo interesujące. Władzom wojskowym w Lizbonie udało się odtworzyć dwie podróże byłego prezydenta Portugalii: w lipcu i we wrześniu br.

W lipcu wyjechał Spinola do Paryża, gdzie spotkał się z przywódcami opozycji portugalskiej i wyłuszczył im 7-punktowy program MDPL. Następnie wyjechał do RFN. Tam odbył spotkanie z przedstawicielem koncernu Kruppa (czyżby chodziło o finansowanie?) oraz utrzymywane w tajemnicy spotkanie z Franzem-Josefem Straussem. To spotkanie ma bardzo duże znaczenie. Z dokumentów „Aginterpresse" wynika, że osobisty referent Straussa, poseł z ramienia CSU, utrzymywał kontakt z najbliższym współpracownikiem Seraca — Robertem Leroi. Jednocześnie prasa gazetowego koncernu Springera, związana ze Straussem, rozpętała wściekłą kampanię przeciwko nowej Portugalii i wezwała kraje zachodnioeuropejskie do ekonomicznego bojkotu Portugalii.

Podróż generała de Spinoli do Europy we wrześniu tego roku dotyczyła ostatecznego rozstrzygnięcia problemu finansowania jego „ruchu". Podczas gdy wszyscy myśleli, że Spinola wciąż jeszcze mieszka na 25 piętrze hotelu „Sheraton" w Paryżu, generał już 8 września wyjechał samochodem z Paryża do Lozanny. Tam, za pośrednictwem przedstawiciela dyrektora kompanii „International Telephone and Telegraph" (ITT) Johna Mackowna, jednego z byłych dyrektorów CIA, otrzymał Spinola środki pieniężne, które zebrały dla niego liczne wpływowe amerykańskie i zachodnioeuropejskie koncerny przemysłowe. Pierwsza „rata" wynosiła blisko 300 tysięcy dolarów.

Tak wygląda zakulisowa strona działalności „Portugalskiej armii wyzwolenia" i „ruchu" Spinoli. Obraz taki sam jak w Chile przed przewrotem. Na pierwszym planie figurują liczne międzynarodowe kompanie, CIA, na wpół militarne i całkiem zmilitaryzowane oddziały emigrantów i najemników. Warto także wspomnieć, że podczas przewrotu w Chile był tam obecny amerykański współpracownik Seraca — Franklin vel Sabłowski. Teraz najważniejszym celem PAL, MDPL i innych portugalskich organizacji emigracyjnych jest spowodowanie rozłamu w armii portugalskiej.

JERZY CZECH

■ MIĘDZYNARODOWA DZIAŁALNOŚĆ PZPR

■ DEBATA BLISKOWSCHODNIA

VII Zjazd partii jest przede wszystkim wydarzeniem polskim. Na tym najwyższym forum partyjnym bilansuje się bowiem dorobek międzyzjazdowy, wytycza kierunki społeczno-gospodarczego rozwoju kraju na najbliższe lata oraz wybiera władze partyjne, które mają tym rozwojem pokierować. Jednakże tak liczny udział delegacji zagranicznych nadaje mu także **rangę wydarzenia w międzynarodowym ruchu robotniczym i na całej scenie międzynarodowej polityki.** Polska jest przecież mocnym ogniwem socjalistycznej wspólnoty krajów, a we współczesnym świecie pokojowe ułożenie stosunków między państwami o odmiennych ustrojach ma znaczenie zasadnicze.

W czteroletnim okresie, jaki dzieli nas od VI Zjazdu PZPR, stosunki międzynarodowe ewoluowały zdecydowanie w kierunku pokoju. Nie stało się to samoczynnie. **Ten kierunek rozwoju wydarzeń został wywalczony przez kraje socjalistyczne** ich zdecydowaną i konsekwentną polityką. Związek Radziecki i inne kraje naszej wspólnoty nie zaniedbały żadnej okazji, aby odprężyć światową sytuację — wygasić ogniska zbrojnych konfliktów, pokojowo rozwiązać spory i zapewnić współpracę krajów. Taki program pokoju najpełniej udało się zrealizować na europejskim kontynencie, czego potwierdzeniem jest wynik helsińskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. Osiągnięty postęp w dziedzinie odprężenia stał się możliwy tylko dlatego, że **państwa socjalistycznej wspólnoty stanowią dziś potężną siłę polityczną, gospodarczą i militarną,** która wywiera zasadniczy wpływ na tendencje rozwojowe współczesnego świata.

Polska w ich kształtowaniu spełnia ważną rolę. Zadania, wyznaczone na tym polu przez VI Zjazd, realizowane były każdym naszym kontaktem międzynarodowym.

W sprawozdaniu Komitetu Centralnego PZPR na VII Zjazd podkreśla się **szczególną rolę, jaką odegrały w omawianym okresie stosunki międzypartyjne.** PZPR uczestniczyła w wymianie doświadczeń i wielostronnej współpracy z KPZR i pozostałymi partiami socjalistycznej wspólnoty, rozszerzała kontakty i współpracę z innymi partiami komunistycznymi i robotniczymi, zwłaszcza Europy Zachodniej. Przypomnijmy że w porozumieniu z KPZR i innymi bratnimi partiami, a wespół z Włoską Partią Komunistyczną **zainicjowaliśmy zapoczątkowanie prac przygotowawczych do Konferencji Partii Komunistycznych i Robotniczych Europy.** W październiku 1974 roku odbyło się w Warszawie spotkanie konsultatywne, po którym przystąpiono do opracowania projektów dokumentów konferencji. Prace rozwijają się pomyślnie, a konferencja z pewnością określi kierunki dalszej walki o utrwalenie pokoju na naszym kontynencie. Ruch komunistyczny jest bowiem „najbardziej postępową motoryczną siłą współczesności".

Sprawozdanie podkreśla również, że PZPR rozszerzyła swe kontakty z partiami lewicy niekomunistycznej.

Na toczących się obradach VII Zjazdu **międzynarodowej działalności partii i polityce zagranicznej państwa poświęca się wiele uwagi.** Mają one bowiem ułatwić realizację naszego programu dynamicznego rozwoju kraju, wyższej jakości pracy i życia, stworzyć dla niego jak najlepsze warunki zewnętrzne.

* * *

Z serwisu depesz zagranicznych — zwróćmy uwagę na **rozpoczęcie debaty bliskowschodniej w Zgromadzeniu Ogólnym NZ.** Debata ta poprzedzona została rezolucją Rady Bezpieczeństwa, przedłużającą mandat doraźnych sił ONZ na Wzgórzach Golańskich. Zapowiedziano również zaproszenie delegacji Organizacji Wyzwolenia Palestyny do udziału w dyskusji bliskowschodniej w tej Radzie. Oba te fakty niewątpliwie wpływają korzystnie na przebieg debaty.

Grupa krajów niezaangażowanych przedłożyła Zgromadzeniu projekt rezolucji, zmierzającej do całościowego i trwałego rozwiązania konfliktu. Dwa szczegółowe elementy rezolucji, to: zmuszenie Izraela do całkowitego wycofania się z okupowanych terytoriów arabskich oraz zobowiązanie Rady Bezpieczeństwa do opracowania kalendarza wprowadzenia w życie wszystkich postanowień ONZ w sprawie Bliskiego Wschodu.

Ważne miejsce w dyskusji zajmuje oczywiście problem palestyński — zagwarantowania praw narodowi palestyńskiemu, łącznie z prawem utworzenia własnego państwa.

W debacie bliskowschodniej zabrał m. in. głos przedstawiciel Polski, który podkreślił, że **zapewnienie warunków niezależnego rozwoju wszystkich krajów tego regionu jest możliwe tylko w ramach całościowego rozwiązania problemu bliskowschodniego.** Właściwym forum zaś dla wypracowania całościowego programu jest genewska konferencja pokojowa. Ostatnio Związek Radziecki zaproponował Stanom Zjednoczonym wystąpienie ze wspólną inicjatywą wznowienia obrad konferencji.

Przypomnijmy, że od pewnego czasu nikt przeciwko temu nie oponuje, a mimo to genewska konferencja nie rozpoczęła jeszcze prac.

W. SŁAWSKI

FILM

NIE TYLKO O KELNERACH

Wydana w 1936 r., z inicjatywy Michała Choromańskiego, powieść „Zaklęte rewiry" Henryka Worcella była sensacją literacką i obyczajową. Autorem powieści był człowiek, który w latach 1928—1936 pracował jako kelner — krakowskim Grand Hotelu, w „Zaklętych rewirach" zawarł doświadczenia i obserwacje z owych lat. Tadeusz Kurjyka, bo tak brzmi prawdziwe nazwisko autora, nie odszedł już od literatury, a film „Zaklęte rewiry" w reżyserii Janusza Majewskiego jest drugą adaptacją jego utworów, jako że „Grzech Antoniego Grudy" Jerzego Sztwiertni to także film oparty o opowiadania Worcella.

Film Janusza Majewskiego nie jest już sensacją społeczno-obyczajową na miarę powieści Worcella, jest jednak swoistą sensacją kinematograficzną. „Zaklęte rewiry" Janusza Majewskiego dowodzą, że potrafi się u nas, w tej produkcji potocznej, nie sięgającej w swych ambicjach klasy „S", robić dobre, a nawet bardzo dobre filmy. Dla uczciwości jednak przypomnieć trzeba, że „Zaklęte rewiry" powstały w koprodukcji z kinematografią czechosłowacką, której udział w tym filmie nie ograniczył się do spraw administracyjno-produkcyjnych. Znakomity scenariusz w oparciu o powieść Henryka Worcella napisał Czech — Pavel Hajny, człowiek zaledwie trochę znający język polski, a książka, nad którą pracował, nie była tłumaczona na język czeski. W filmie zagrali też czechosłowaccy aktorzy, a także autentyczni kelnerzy z praskiej restauracji „Obecni Dum". I wreszcie... zdjęcia filmowe wykonał czeski operator Miroslav Ondricek, którego udział w sukcesie filmowych „Zaklętych rewirów" jest ogromny. To on wyczarował klimat pokazanych w filmie dziś już „retro" lat, to on w mistrzowskich, długich ujęciach budował rytm i dramaturgię centralnych sekwencji tego filmu. „Zaklęte rewiry" są niezwykle rzadkim w kinie polskim popisem narracyjnych umiejętności reżysera i operatora.

Janusz Majewski opowiedział historię, która przekracza barierę swej dosłowności, choć ona sama w sobie wydaje się wystarczająco atrakcyjna. W tekście oryginalnym odnaleziono znakomity materiał psychologiczny i obyczajowy, którego uogólnienie przekracza ramy opowieści o sytuacji i konfliktach jednego zawodu.

Historia edukacji Romana Boryczki, który przechodzi poprzez wszystkie etapy swej profesji, od pomywacza w kuchni do samodzielnego kelnera, staje się znakomitym studium społeczno-psychologicznym, analizą środowiska, które może być każdym innym, środowiska z jego hierarchią, całym systemem zależności i uwikłań.

W opowieści tej pojawia się bohater pozytywny, pozytywny w tej mierze, w jakiej poszukuje się go w sztuce stale, a nad którego brakiem w sztuce współczesnej tak bardzo się dziś narzeka. Ta pozytywność pojawia się w powieści Henryka Worcella i zachowuje swą możliwość w filmie Majewskiego. W nią się po prostu wierzy, właśnie dlatego, że droga do niej była tak trudna. Dzieje Romka Boryczki to opowieść o dojrzewaniu człowieka, o drodze do samodzielności zachowań i decyzji, o możliwości zachowania godności w świecie, którym rządzą prawa działające przeciwko owej godności i uczciwości życia. Poszczególnym etapom tej drogi autorzy filmu w ślad za autorem powieści przydali mnóstwo znakomitych zarówno psychologicznych jak i obyczajowych obserwacji. Łączy je zaś rama owego studium społecznej sytuacji, wykraczającej poza środowiskowe realia obyczajowe.

Na artystyczny sukces filmowy „Zaklętych rewirów", poza wspomnianymi już czynnikami składa się również aktorstwo tego filmu. Choć intuicji Andrzeja Wajdy wierzyć trzeba, teraz już wiadomo dlaczego powierzył główną rolę w swym filmie „Smuga cienia" Markowi Kondratowi, wykonawcy roli Romka w filmie Janusza Majewskiego. Aktor ten udźwignął rolę owego pozytywnego bohatera, co przecież nie jest rzeczą tak łatwą — młodzieńcza otwartość i absolutna psychologiczna szczerość zastąpiła braki aktorskiego doświadczenia. Spośród całego znakomitego polsko-czeskiego zespołu aktorskiego na plan pierwszy wysuwa się jednak kreacja Romana Wilhelmiego. Ten bardzo lubiany i do niedawna jeden z najprzystojniejszych polskich aktorów rozpoczyna następny rozdział swej kariery. Świetny Pochroń z „Dziejów grzechu" był już jej początkiem, rola kelnera Pornalskiego pogłębia to wrażenie. Wilhelmi zbudował postać, sięgając do najgłębszych rejstrów psychologii. Fornalski w jego interpretacji budzi wstręt i współczucie, jest niezwykle trafnym studium pogrążania się człowieka, któremu brak siły jaką reprezentuje młodziutki Romek. Postać Fornalskiego jest właśnie w pogłębionej przez Romana Wilhelmiego interpretacji antytezą postaci Romka Boryczki. Dzieje obu przydają tej opowieści o kelnerskim zawodzie znaczeń dodatkowych.

EWA NURCZYŃSKA

GRY I ZABAWY

Milion jest to kwota przemawiająca do wyobraźni. Po milion ustawiają się kolejki przed punktami Toto-Lotka. Wygrać milion to marzenie każdego z grających, a jest ich co tydzień, bagatelka!, kilka milionów. Ale wygrać udaje się tylko nielicznym. Ilu? Zapytajmy o to dyrektora V Oddziału Międzywojewódzkiego Totalizatora Sportowego w Łodzi — JERZEGO SKOTNICKIEGO.

— Toto-Lotek obchodzi 20-lecie swej działalności. Ile milionów przez ten czas przewinęło się przez pański gabinet?

— Jeżeli „milionerami" nazywać będziemy osoby, które wygrały od 500 tysięcy do miliona złotych, to z Łodzi i sąsiadujących z nią województw było więcej niż 200 milionerów.

JAK WYGRAĆ? RADY DLA PRZEGRYWAJĄCYCH

Jak wygrać milion? — jest to pytanie istotne. Wielu namiętnych graczy ma swój system. Wielu od lat kreśli te same — swoje szczęśliwe numery. Ci są stałymi graczami, boją się opuścić nawet jednej gry, bo może właśnie wtedy...

Tego rodzaju graczem był cesarz **Franciszek Józef**, który w ciągu swojego długiego żywota obstawiał w grach loteryjnych zawsze te same numery i... nic nie wygrał.

Matematycy wyliczyli, że prawdopodobieństwo wygrania miliona w Toto-Lotku wynosi **1 do 13.983.816**. Innymi słowy, aby trafnie wytypować 6 liczb z 49 trzeba by wypełnić 13.983.816 kuponów ciągle zmieniając kombinację cyfr. Ale czy tylko na to wyliczenie stać matematyków?

Po długich poszukiwaniach znalazłem zeszyt **„Zastosowań matematyki"** (wydany przez Instytut Matematyczny PAN w 1960 r.), w którym **B. Gleichgewicht, J. Kucharczyk i H. Steinhaus** publikują ciekawą pracę pt. **„Uwagi o grach liczbowych"**. Autorzy tej pracy po przebadaniu wieluset kuponów górnośląskiej gry liczbowej **„Karolinka"**, stwierdzają że grający w nią ludzie zdradzają upodobania do pewnych liczb, a niechęć do innych. Matematycy dochodzą również do wniosku, że nawet kształt kuponu i kształt figury, otrzymanej po zaznaczeniu liczb na kuponie, nie jest graczom obojętny.

Naukowcy rzadko spotykali sekwensy geometryczne (tj. wybór liczb w 5 stykających się kratkach).

„Gracze częściej tak wypełniają kupon, że figura ma układ poziomy, układ pionowy wybierają rzadziej (...) Na ogół gracz stara się wybierać liczby tak, by kupon był równomiernie wypełniony, gracz woli nie grupować wszystkich krzyżyków w jednej części kuponu. Podobnych regularności — piszą matematycy — zaobserwowaliśmy wiele. Nie udało się nam jednak znaleźć żadnego klucza do rozwikłania i usystematyzowania tych preferencji geometrycznych. Przyglądając się kuponom zauważyliśmy, że w środku prawie zawsze więcej jest krzyżyków niż na brzegach".

Jakie więc liczby gracze lubią? Należą do nich według częstości występowania: **46, 44, 45, 36, 35, 24, 43** zaś do nielubianych **88** (wówczas w „Karolince" typowało się z 5 liczb z 90), **89, 1, 50, 40, 41, 30.**

Czy z tych matematycznych rozważań wynika jakiś sposób dobrej, skutecznej gry?

„Wydaje się, że tak — piszą autorzy. — **Trzeba wybierać na kuponie takie piątki liczb, których gracze nie lubią. Nie zwiększa się przez to wcale prawdopodobieństwa wygrania, ale kwota, przypadająca na wygrane zostanie podzielona pomiędzy tak małą liczbę graczy, a przez to będzie większa, dzięki temu wzrasta nadzieja matematyczna".**

Znaczenie praktyczne pracy zmalało, a to z tego względu, że wszędzie zarzucono odmianę loterii 5 z 90, w Toto-Lotku ustalono jako — główną nagrodę milion zł, praca więc odnosić się może jedynie do **„Kukuleczki"**. Ale zachowuje swą wartość jako przykład obserwacji psychiki kolektywu.

Sądzę jednak, że my — zwykli, pechowi gracze — możemy z tej publikacji wyciągnąć pożyteczne wnioski.

OKO W OKO Z MILIONEM

Kiedy zaczynałem pracę w „Głosie Robotniczym" ówczesny kierownik działu miejskiego, red. **Henryk Rudnicki** polecił mi znaleźć ciekawy temat. Był sierpień, tzw. sezon ogórkowy, połowa mieszkańców miasta — na urlopie. Trzeba wyjątkowego szczęścia aby w ogórkowym sezonie dopaść ciekawy temat. Przypomniałem sobie o komunikacie Toto-Lotka donoszącym o najwyższej wygranej i to właśnie w województwie łódzkim. Postanowiłem odnaleźć milionera. Niezupełnie legalnymi metodami ustaliłem nazwisko i adres szczęśliwca. Był nim **mieszkaniec Pabianic.**

W podmiejskim tramwaju wyobrażałem sobie spotkanie z milionerem w pięknej willi wśród pachnących jeszcze świeżym drzewem mebli.

Milionera nie zastałem — **był** w pracy w największym w tym mieście zakładzie. Czekałem na niego w skromnie urządzonym mieszkaniu, słuchałem muzyki dobiegającej ze starego radia. Potem przez okno zobaczyłem go wjeżdżającego na podwórze na... rowerze. Był w roboczym ubraniu.

— Oczywiście cieszę się, że wygrałem — mówił milioner. — **Nie, nic jeszcze nie kupiłem. Nie planuję żadnych większych wydatków. Mam ten milion na książeczce PKO. Pieniądze przydadzą się jak dorośnie córka.**

Od tamtej rozmowy minęło 15 lat, jesienią tego roku — ciekawość zawiodła mnie znów do milionera. Ogródek jak wówczas i teraz starannie utrzymany. Maleńki domeczek dostawiony do tyłu okazałej kamienicy wygląda tak samo niepozornie jak wtedy. Jest milioner i jego żona. Córka już zamężna mieszka w nowych blokach. W mieszkaniu nic się nie zmieniło. Przybył tylko telewizor.

— Ach milion?! — mówi gospodarz jakby nagle przypomniał sobie o najmniej ważnej rzeczy. — **Jest na książeczce PKO. Z odsetek kupiliśmy córce mieszkanie, do domu telewizor. I nic więcej. Oboje z żoną pracujemy. Tak się szczęśliwie złożyło — że praca jest dla mnie i dla żony najważniejsza. Nawet urlopu latem nie wziąłem, absencja duża, majster prosił — to pracowałem. Ale matka, trzeba coś zrobić z tymi pieniędzmi. Tylko co?**

W KRZYWYM ZWIERCIADLE CZYLI WOKANDA Z MILIONEM

Nie brakło na sądowej wokandzie i nie brakuje spraw, których osią jest główna wygrana.

W pewnej łódzkiej instytucji, w jednym pokoju pracowały dwie młode panie i starszy referent. Była sobota, dzień pracy dobiegał końca, gdy w drzwiach stanął kierownik. Przeciąg sprawił, że papiery leżące na biurku jednej z pań wyfrunęły przez otwarte okno i znalazły się na dachu przybudówki. Szarmancki, starszy referent mimo protestu pań i kierownika wyszedł przez okno po leżące na dachu papiery. Wyjście kierownika znów spowodowało przeciąg i na dachu znów znalazł się jakiś świstek leżący na biurku pani pracującej przy oknie. Referent znów skoczył — ale tym razem dach przybudówki zarwał się pod jego ciężarem.

Wśród papierów, które wyfrunęły za pierwszym razem znalazł się kupon Toto-Lotka. Grające wspólnie panie — wygrały piątkę z plusem. Tą nowiną podzielili się z leżącym w szpitalu starszym referentem koledzy z pracy.

— To twoja zasługa, że one wygrały, tyś przyniósł z dachu ich kupon. Należy ci się przynajmniej jedna trzecia wygranej.

Czy się należy? Ustali to sąd. Wyroku jeszcze nie było.

Duże pieniądze zmieniają małych ludzi — mówi stare porzekadło. I ma chyba rację — ilustracja przysłowia jest historia **Zdzisława M.**

Pewnego dnia Zdzisław M. ze Zgierza wszedł do mieszkania trzymając w rękach dwie duże, luksusowe walizy ze świńskiej skóry. Otworzył szafę i bez słowa zaczął do walizek wrzucać swoje rzeczy. Nim zupełnie zaskoczona i oniemiała żona zdążyła wyrzec słowo — opuścił lokal.

— Zdzisiek coś ty!! — krzyknęła przez okno, ale zdumienie raz jeszcze odebrało jej mowę. Zdzisiek postawił sakwojaże przed nowym samochodem, zasiadł za kierownicą i odjechał w tzw. siną dal.

Kto tak nagle odmienił męża? Skąd wziął samochód? — na te pytania kobieta nie znajdowała odpowiedzi. Powinien to wyjaśnić. Czekała na telefon lub list. Właśnie jest. Powiastka do sądu. O rozwód.

Podjęte przez żonę prywatne dochodzenie — przesłuchiwania kolegów, wypytywania znajomych, śledzenie męża — trwało ze dwa tygodnie a dało zaskakujące wyjaśnienie. Jej mąż wygrał w Toto-Lotka cały milion, świeżo upieczony milioner zmienił garnitur, mieszkanie, środki lokomocji i chce zmienić żonę.

Odbywa się pierwsza rozprawa w sądzie. Żona zgadza się na rozwód, a jej adwokat składa wniosek o podział majątku i zabezpieczenie dla swej klientki połowy wygranej tj. 500 tys. zł.

— To byłoby niesprawiedliwe — dowodzi Zdzisław M. — **Żona nigdy nie pozwalała mi grać w Toto-Lotka. Ciągle z tego powodu robiła awantury. Ostatnio grałem w tajemnicy przed nią, przekazując na ten cel tylko swoje pieniądze, tak jak ona za swoje chodziła do fryzjera, jak kupowała papierosy, których nie palę.**

— Wszystko do czego dojdą małżonkowie w czasie związku, stanowi ich wspólny majątek. Jest nią również wygrana na loterii czy grze liczbowej — kontynuował adwokat żony.

Sąd przychyla się do wniosku pozwanej. Pół wygranej zostaje wpierw zabezpieczone a potem wypłacone żonie.

PORTRET „PRZECIĘTNEGO" SZCZĘŚLIWCA

Nietypowe są przykłady milionerów z Pabianic i ze Zgierza. A jaki jest portret „przeciętnego" szczęśliwca? Któż nam odpowie na to pytanie? Oczywiście dyrektor **Jerzy Skotnicki.**

— Wszystkich naszych klientów, którzy wygrali powyżej 250 tys. zł prosimy o wypowiedź: co zamierzają zrobić z taką masą pieniędzy.

— A co zamierzają?

— Najwięcej osób pragnie poprawić sobie warunki mieszkaniowe, a więc kupić domek jednorodzinny lub mieszkanie własnościowe. I oczywiście odpowiednio je urządzić. Druga co do wielkości grupa „milionerów" zamierza, po zainkasowaniu wygranej, zrealizować swoje marzenia o samochodzie. Wiele osób i jest to trzecia co do wielkości grupa postanawia zużytkować wygraną na odbycie podróży zagranicznych — na Hawaje, do Afryki, Hiszpanii, Azji, Japonii.

— Czy znalazł pan jakąś cechę wspólną dla wszystkich szczęśliwców?

— Chyba roztargnienie. Pewna mieszkanka Kutna wygrała piątkę z plusem, dokładnie 485 tys zł. Odnaleźliśmy kupon, ale właścicielka nie stawia się po wygraną. Po miesiącu prosimy ją o zgłoszenie. Okazuje się, że nie interesowała się losowaniem. Była zaskoczona. Nie jest to odosobniony przypadek. Przed kilku miesiącami poszukiwaliśmy milionera. W czasie sprawdzania kuponów znaleźliśmy odcinek z 6 trafieniami z Pabianic. Mijają dwa miesiące właściciela fortuny nie ma. Wysyłamy zaproszenie. Stawia się zdziwiony młody człowiek. Odcinek C zgubił. Pytamy go czy wie ile wygrał. — Nie wiem odpowiada, ale chyba „czwórkę".

— To są oczywiście wyjątkowe przypadki, ale radość z wygranej jest tak duża, że co drugi „milioner" zapomina odcinka lub dowodu, bądź też zapomina czeku upoważniającego do podjęcia wygranej.

— Zdarzają się tacy, którzy po podjęciu wygranej przestają pracować?

— Nie, w ciągu dwudziestoletniej praktyki nie spotkałem się z klientem, który podjąwszy wygraną rzuciłby pracę.

— Wytypować trafnie 6 liczb z 49 to ogromny przypadek. Czy mimo to ma pan w oddziale stałych klientów, którym kilka razy dopisało szczęście.

— Wielu. Ale nie są najwyższe wygrane. Ostatnio pewien łodzianin trafnie wytypował piątkę z plusem. W tydzień później trafił piątkę. Ale się nie zgłosił po odbiór wygranej. Posłaliśmy list. Przyszedł bardzo zdziwiony. Tak żył wygraną, że do głowy mu nie przyszło, aby w następnym losowaniu znów dopisało mu szczęście.

SZCZĘŚCIE JEST ŚLEPE

Jakie wybrać liczby, jak typować aby wykreślić milion? Któż może wiedzieć lepiej niż milioner. Właśnie z biura łódzkiego oddziału Toto-Lotka wychodzi starsza pani z czekiem w ręku, zapytajmy ją o sposób na milion.

— Mnie się śniło proszę pana przez 6 nocy po 7 krów. Krowa to proszę pana według starego sennika egipskiego, który mam po matce — znaczy szczęście. Zakreśliłam więc 6 i 7 potem pomnożyłam 6 razy 7 i zakreśliłam 36, potem dodałam 6 i 7 i zakreśliłam 13, potem dodałam 13 i 36 i zakreśliłam 49, potem dodałam 6 i 7 i 3 i 6 i wyszła mi 22.

— Sześć razy siedem to jest czterdzieści dwa — proszę pani a nie trzydzieści sześć.

— Tak? A więc się pomyliłam? Ale szczęśliwie.

Nie ma więc żadnych systemów na Toto-Lotka.

ADAM LEWASZKIEWICZ

SYSTEM NA TOTO-LOTKA?

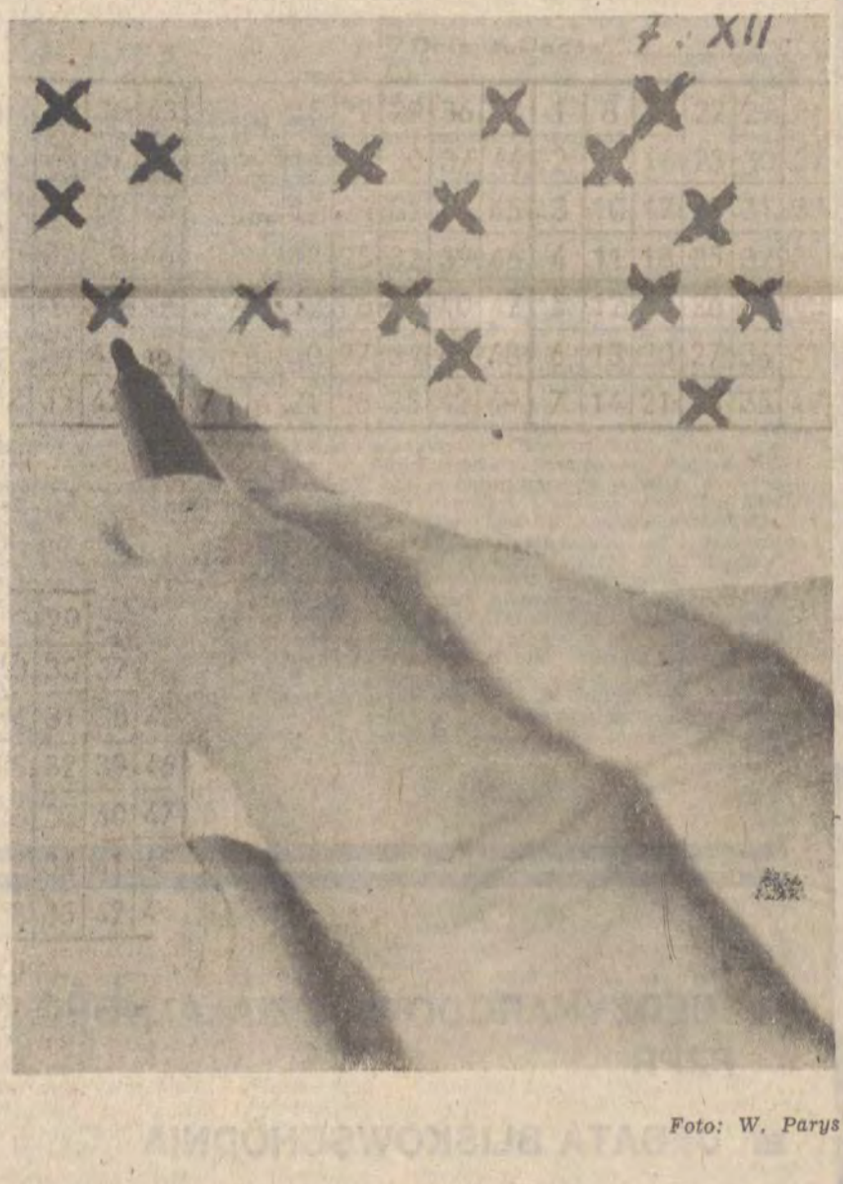

Foto: W. Parys

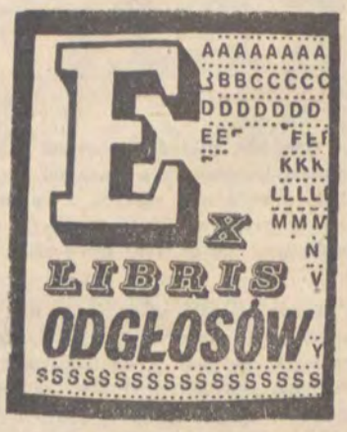

THILLER

Oczywiście, jest to satyryczny dreszczowiec osiemnastowieczny — na dodatek angielski. Jane Austen żyła w latach 1775—1817 i była w swoim czasie dość znaną powieściopisarką angielską. Całe życie spędziła na prowincji (była córką wiejskiego pastora) i w swoich realistycznych powieściach psychologiczno-obyczajowych przedstawiała własne środowisko — średnią warstwę ziemiańską. Dała więc — wycinkowy, co prawda — ale niezwykle trafny obraz społeczeństwa i epoki.

Na język polski przetłumaczono takie książki Jane Austen, jak „Duma i uprzedzenie", „Perswazje", „Emma". Natomiast prezentowany dziś dreszczowiec, to jeden z wcześniejszych utworów pisarki. Jest to powieść satyryczna, obfitująca w aluzje literackie, będąca historią dziewczyny, która pod wpływem modnej wówczas powieści grozy szuka w starym zamczysku duchów, a znajduje męża.

Jane Austen — „Opactwo Northanger", PIW, cena 20 zł.

NIESAMOWITE OPOWIEŚCI

Stefan Grabiński dziś jest prawie nieznany, ale w swoim czasie był może najgłośniejszym pisarzem fantastycznym. Z zawodu był nauczycielem gimnazjalnym — pisał jednak bardzo dużo — wydał kilkanaście książek — nowel, powieści, dramatów. Bodaj najgłośniejszy był jego „Demon ruchu", wydany w roku 1919.

Obecnie w serii „Stanisław Lem poleca" ukazał się tom „Niesamowite opowieści", będący wyborem najlepszych opowiadań Stefana Grabińskiego. Dlaczego tylko nowel? Otóż z całego pisarstwa twórcy „Maszynisty Grota" ocalały właśnie nowele. I tę książkę złożoną z nowel lwowskiego nauczyciela, wydawanych na przestrzeni lat 1919—1922 — warto przeczytać, choćby dlatego, aby znaleźć źródła współczesnej prozy fantastyczno-naukowej.

Stefan Grabiński — „Niesamowite opowieści", Wyd. Literackie, cena 40 zł.

TRZY PISMA

„Szczutek", „Cyrulik warszawski", „Szpilki" — trzy pisma, a ileż generacji pisarskich. Trzy pisma — kilkadziesiąt roczników — a z tego niespełna 200-stronnicowa książeczka. Oczywiście, nie czynię z tych proporcji zarzutu — znam życie. Witold Filler przedmowę do wyboru tekstów z owych trzech najsławniejszych polskich pism satyrycznych zaczął w te słowa: „Literatura jest jak wino: z wiekiem zyskuje nowy smak".

To oczywiście prawda, ale jeszcze inna: „z wiekiem kwaśnieje" — co jeszcze nie jest takie najgorsze, bo również: „z wiekiem nabiera mocy". I tu już mogą być kłopoty, gdy trafi na słabe głowy.

Eryk Lipiński dokonał tego wyboru z całym znawstwem i zręcznością posiwiałego w satyrycznych bojach kombatanta. Mamy więc niewielką, ale wielce pouczającą antologię „Szczutka", „Cyrulika" i „Szpilek" z lat 1919—1939. Eryk Lipiński, co prawda, występuje tylko w jednym miejscu tej książki — jako autor wyboru, przypisów, not o autorach oraz autor opracowania graficznego — ale to on mi się jawi, jako jej główny bohater. Jest to bowiem historia dwudziestu lat polskiej satyry, tak, jak ją widzi Eryk Lipiński i jego epoka. Być może było tak, być może nieco inaczej — w każdym razie jest to książeczka piękna. Odwołując się do porównania Witolda Fillera, można stwierdzić, że znajdujemy tu różne odmiany smaku. Jednego tylko brak — słodyczy. I to jest być może najważniejsze — satyra nie może być słodka.

J.W.

„Szczutek", „Cyrulik warszawski", „Szpilki" — 1919—1939, Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena 45 zł.

HASŁO: „SZTUKA"

W zasłużonej serii Wydawnictw Artystycznych i Filmowych, noszącej hasło „Style — Kierunki — Tendencje" — ukazało się już sporo monografii z dziedziny sztuki. M. in. były to tak interesujące opracowania, jak „Impresjonizm", „Sztuka abstrakcyjna" Kotuli i Krakowskiego czy „Od pop-artu do sztuki konceptualnej" Czartoryskiej.

Ostatnio ukazał się kolejny tomik „Dziwny świat współczesnych prymitywów" Ksawerego Piwockiego. Autor odpowiada tu na pytanie, kim są tzw. artyści prymitywni, co ich między sobą dzieli, a co łączy... Czy takim samym „prymitywem" jest Celnik-Rousseau, co Leon Kudła, rzeźbiarz-samouk spod Kozienic? I gdzie się kończy świadoma sztuka, a zaczynają urojenia — dla kogo z owych artystów sztuka jest potrzebą, a dla kogo terapią, zabiegiem leczniczym?

Trudne to pytania i niełatwe odpowiedzi, ale kogo interesuje sztuka, zapewne po książkę Piwockiego sięgnie. Jest to bowiem mała encyklopedia i zarazem esej o świecie artystów, zwanych naiwnymi, ludowymi, prymitywnymi... Ale w końcu naprawdę artystów.

Również Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe kontynuują (w tym samym kształcie edytorskim i z symbolem Nefretete) serię z hasłem „Kultury starożytne i cywilizacje pozaeuropejskie". W serii tej ukazała się już m. in. „Sztuka egejska" Rutkowskiego, „Sztuka Japonii" Kotańskiego czy „Sztuka Afryki" Alberta Theile.

Ostatnio wydano „Sztukę Indii" Jeannine Auboyer. Jest to około 300-stronicowy zarys sztuki Indii — z natury rzeczy skrótowy, bo przecież mamy do czynienia z narodem, który dzieła sztuki tworzył już wówczas, gdy na terenie Europy żyły tylko niedźwiedzie. A więc synteza, ale na tyle wyczerpująca, że i tę książkę uznać można za historię indyjskiej sztuki.

J.W.

Ksawery Piwocki — „Dziwny świat współczesnych prymitywów". Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena 35 zł, Jeannine Auboyer — „Sztuka Indii", Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena 38 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ:

Elizabeth Bowen — Dziewczynki. PIW 1975, 30 zł.
Józef Bliziński — Listy. WL 1975. 110 zł.
Karol Irzykowski — Wybór pism krytycznoliterackich. Ossolineum 1975. 85 zł.
Stanisław Lem — Powrót z gwiazd. WL 1975, 30 zł.
Zofia Szmydtowa — Cervantes. PIW 1975, 60 zł.
Georgij S. Kłyczkow — Teoria rozwoju języka i językoznawstwo historyczno-porównawcze. PWN 1975. 40 zł.
Kazimierz Kumaniecki — Historia kultury starożytnej Grecji i Rzymu. PWN 1975, 100 zł.
Andrzej Markowski — 500 zagadek o języku polskim. WP 1975. 20 zł.
Stanisław Szenic — Pitaval warszawski. KiW 1975, 50 zł.
Zbigniew Wyszyński — Filmowy Kraków 1896 — 1971. WL 1975, 100 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

MY RZĄDZIM ŚWIATEM

... a nami kobiety. Któż tego powiedzenia nie zna! Ileż razy padły te słowa z okazji kończącego się właśnie Roku Kobiet. Więc raz jeszcze — zapewne nie ostatni — wróćmy do rozprawek i dysertacji zasłużonego Zygmunta Glogera, prof. Juliana Krzyżanowskiego, czy wreszcie prof. Aleksandra Brücknera, którzy deliberowali nad słowem „kobieta", aby w końcu dojść do wniosku, że żaden z pomysłów czy domysłów nie zdobył powszechnego uznania i sprawa jest nadal otwarta.

Tak w każdym razie twierdzi w księdze „Mądrej głowie dość dwie słowie" prof. Julian Krzyżanowski.

Pisze on też, że wyraz „kobieta" w sensie dzisiejszym stosowany jest powszechnie dopiero od niespełna dwustu lat. Przedtem była białogłowa bądź niewiasta. Marcin Bielski w „Sejmie niewieścim" — a był to wiek szesnasty — dowodzi, że ówcześnie była to nazwa obelżywa. Skarżą się w „Sejmie" kobiety na mężów:

„Chocia oni nas zową białegowy, prządki,
Ku większemu zelżeniu kobietami zową..."

A potem, prawie niespodziewanie, bo w jakieś sto lat później książę biskup warmiński, Ignacy Krasicki, pisze w „Myszeidzie" znamienne słowa, które powtarzają dziś wszyscy, nawet nie wiedząc, kto był ich autorem:

„Czegóż płeć piękna kiedy nie dokaże?
Mimo tak wielkie płci naszej zalety,
My rządzim światem, a nami kobiety".

I tu prof. Krzyżanowski wrzuca subtelny kamyczek do ogródka biskupa warmińskiego. Pisze bowiem: **„Być może, czytelnicy ówcześni, wychowankowie szkoły jezuickiej, w której uczniom wszczepiano drobiazgową znajomość świata starożytnego z jego kulturą i literaturą, zdawali sobie sprawę, że ostatni z przytoczonych wierszy nie był oryginalny. Czytywali przecież „Moralia" Plutarcha, gdzie (...) figurowało złośliwe powiedzonko Katona Starszego, natrząsającego się z wpływów kobiecych: „Wszyscy mężowie rządzą kobietami, my wszystkimi mężami, nami zaś kobiety".**

Czyli kółko się zamyka.

A stary aforyzm Katona odmłodził się poprzez doskonalszą formę poezji Krasickiego — poszedł w lud, stał się przysłowiem, porzekadłem, którego autorstwa nikt już dziś — poza historykami — nie dochodzi.

No, dobrze, ale jak to się dzieje, że „kobieta" stała się z obelgi przedmiotem aż takiej admiracji. Dlaczego zginęła „białogłowa" a „niewiastę" dotknęło odium lekceważącej poufałości?

Otóż sprawa jest jasna. Nie wiadomo.

Przypuszczano więc, że wyraz pochodzi ze źródeł słowiańskich i wiąże się z „kobią" — wróżbą, mógł więc kiedyś oznaczać wróżkę czy wiedźmę. Poszukiwano także związków z niemieckim „Kob" w znaczeniu chlewa. Mogła więc kobieta oznaczać dziewkę, używaną do ciężkich robót w oborze lub chlewie. Wywodzono także ten wyraz z fińskiego... Jakby tego nie było dosyć niektórzy dostrzegali tutaj pierwiastki grecko-tureckie i myśleli o kobiecie jako synonimie... niewolnicy.

Stawiam ten wielokropek świadomie, bo przecież krótko potem właśnie mężczyzna stał się w powszechnym porzekadle synonimem niewolnika rządzonego przez kobietę. I to on — mężczyzna, wołał przerażony tym władztwem: „Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto..."

I tak można by ciągnąć ten temat — rzekę poprzez dzieje aż do czasów dzisiejszych i dzisiejszych paradoksów. W krajach, gdzie równouprawnienie kobiet stało się faktem — ze świecą można szukać kobiet-dyrektorów i ministrów... W krajach, gdzie kobieta pogrążona jest jeszcze w średniowiecznym niemal niewolnictwie — kobiety stoją na czele rządów... Myślę, że intencją proklamatorów Roku Kobiet było również zwrócenie uwagi na te dziwności i anomalie naszego pięknego i pełnego zagadek świata.

WIDOK

LEWYM OKIEM

PRESTIŻ ELEMENTÓW SZKLIWNYCH

Przed rokiem czytałem w prasie wiadomość o tym, że rząd holenderski jako pierwszy na świecie polecił drukować banknoty ze specjalnymi znakami, łatwymi do rozpoznania dotykiem. Banknoty te mają ułatwić życie niewidomym, których w Holandii nie ma więcej niż gdzie indziej, tyle że ktoś o nich pomyślał.

Zresztą — po co niewidomi? Wystarczy być okularnikiem na kilku dioptriach, a już bez szkieł nie odróżni się w żaden sposób nowej pięćsetki od nowej setki. Format i wymiary te same, kolor prawie identyczny, a po przybrudzeniu i w niezbyt oświetlonym miejscu — absolutnie nie do odróżnienia. Że też ktoś, kto zatwierdzał do emisji te banknoty, nie wziął pod uwagę takiej oczywistej i zasadniczej sprawy!

Sam mam kłopoty z rozpoznaniem i tych banknotów, i monet dwudziesto- i dziesięciozłotowych. Znów rozmiar i waga te same. Dochodzi jeszcze dziesięciozłotówka o ciężarze i formacie złotówki. Nie ma rady, muszę wiecznie zdejmować jedne okulary, zakładać drugie, zdejmować, zakładać, — a czasem jedna ręka zajęta, druga trzyma się — np. w tramwaju — uchwytu, ktoś tam czeka z ręką w powietrzu, wychodzi się wobec niego na sknerę i centusia liczącego każdy grosz. Ba, dwadzieścia złotych to już nie grosz, nie mówiąc o pięćsetce...

Już się pokazują w witrynach sklepowych plastykowe choinki. Kto — jak moje pokolenie — przeszedł kilkuletnią szkołę dojmującej nostalgii, temu choinka zawsze kojarzyć się będzie z krainą pełną wzruszeń i sentymentów. Ale na plastykowe drzewka patrzę mimo wszystko — mówiąc językiem czasopism literackich — ambiwalentnie. Naczytaliśmy się przecież w „Polityce" o pożarach, kalectwach i nieszczęściach, spowodowanych wybuchem plastyku. Tak, tego właśnie, choinkowego, wybuchającego nie od staroświeckiej świecy, tylko od iskierki, od ciepła, niemal od samego patrzenia. „Polityka" domagała się jednoznacznie wycofania drzewek i zakazu ich sprzedaży. „Przekrój" jednocześnie reklamował je dalej argumentując koniecznością ochrony lasów. Był w tej dyskusji również i taki głos, że przecież wyprodukowano już tysiące choinek i leżą one na składach jako zamrożone pieniądze. Że produkuje je jakaś spółdzielnia, dając pracę i utrzymanie tylu i tylu inwalidom. A zatem — nieludzkie jest odbieranie chleba inwalidom przez zakazy, których jedynym skutkiem będzie o tuzin głupich wybuchów mniej.

Nie wiem, czym się to skończy, tymczasem na Piotrkowskiej stoją już plastykowe choinki, obłożone śniegiem z waty — wyglądającym zupełnie jak prawdziwy, bo też brudnym. Wiszą na nich bombki identyczne jak za mojego strasznie dawnego dzieciństwa. Kto wie, może i tamte były ładniejsze, chociaż jak to możliwe, skoro nie istniał wtedy w Krakowie naukowy, namaszczony, dyplomowany, doktoryzowany Zakład Wzornictwa Ozdób Choinkowych. A teraz zakład taki istnieje i składa się z szeregu pracowni, z których jedną jest pracownia plastyczna. Domyślam się, że plastycy z tej pracowni wymyślają na nowo bombki, wymyślone przez nieuków dwieście lat temu. Bombkom też trzeba nadać rangę, prestiż i — zapewne — „adekwatną" nazwę, na przykład: „zawieszalne elementy szkliwne, błyszczące wielobarwne". Nie domyślam się tylko, jakie jeszcze pracownie, oprócz plastycznej kryje w swym łonie Zakład Wzornictwa Ozdób Choinkowych. Wzornictwo — to plastycy. A co oprócz plastyków? Pracownia systemów podwieszania? Pracownia ekonomiczno-perspektywiczna? Wdrożeń i adaptacji?

To już Stefan Żeromski napisał, że „Polska powstała na to, aby stać się pracowiskiem ludności". Mamy kraj usiany tysiącami pracowni w setkach zakładów projektowania, prognozowania i pseudonimowania. Czy pracowisko — to właśnie rosnąca ilość takich pracowni?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

ROZTERKA

Zupełnie nie wiem jak się ustosunkować do postępu technicznego. Wprawdzie stanowisko oficjalne powszechnie jest znane i człowiek już od pierwszej klasy szkoły podstawowej, a więc od momentu, kiedy nauczy się czytać, winien być dokładnie przekonany, że żyjemy w okresie rewolucji naukowo technicznej i że postęp, rozwój techniki i nauki przynoszą nam kolosalne korzyści. Jeżeli potrafimy z tego we właściwy sposób skorzystać, to wkroczymy w XXI wiek wcale nie gorzej przygotowani od innych.

Ale z drugiej strony paru rzeczy nie rozumiem. Na przykład tego, czy to dobrze, że na stacjach PKP automatyzuje się informację, czy to też niedobrze? Czy ci, którym się ją unowocześnia są w lepszej sytuacji niż ci, którym pozostawia się panienkę z bolącymi zębami? Sądząc wedle oficjalnego stanowiska powinniśmy się cieszyć z każdego wprowadzania postępu. Skoro jednak podsekretarz stanu w Ministerstwie Komunikacji — inż. Janusz Głowacki — osoba oficjalna i urzędowa — stwierdza w „Trybunie Ludu", że nowoczesne urządzenia wizualnej informacji „Pragatron" otrzyma nie tylko Warszawa, co jest całkowicie zrozumiałe, ale także Gdańsk, Gdynia, Olsztyn, a trochę później — Rzeszów, Bydgoszcz, Skarżysko, Radom, a nie otrzyma ich Łódź, to ja sobie cichutko myślę, że te „Pragatrony" muszą być liche i lepsza już jest panienka z bolącymi zębami.

A z drugiej strony, ja nawet inż. Janusza Głowackiego rozumiem. Ani Łódź — Kaliska ani tym bardziej Łódź — Chojny, ani Łódź — Widzew nie nadają się do tego, aby instalować tam „Pragatrony". Może jeszcze Łódź — Fabryczna nadawałaby się do tego, bo już Łódź — Żabieniec choć dworzec nowy to jednak za mały. Ale kiedy znów tak staram się zrozumieć inż. Janusza Głowackiego, to znów nie wiem, co myśleć o postępie technicznym: dobry on jest czy nie?

Czytam oto w „Głosie Robotniczym" rewelacyjne doniesienie:

„Łódzkie Zakłady Przemysłu Piekarskiego przygotowują wespół z ekonomistami UŁ ankietę, której wyniki pozwolą — jak spodziewają się piekarnicy — dostosować lepiej zaopatrzenie sklepów do potrzeb mieszkańców. 6 tysięcy ankiet dostarczonych zostanie wylosowanym respondentom..."

I znów ogarnie mnie rozterka. Dobry kierownik sklepu powinien bez żadnej ankiety wiedzieć, co ludziom smakuje, co kupują chętnie, czego unikają i kupują dopiero wtedy, kiedy już nie ma nic innego. Po to ten kierownik sklepu jest.

Ale z drugiej strony, jeśli „ekonomiści UŁ" — jak to formułuje (m. m.) z „GR" — postanowili rozesłać aż 6 tys. ankiet, to czy trzeba poddawać w wątpliwość udział nauki w poznawaniu życia? Może, ci „ekonomiści z UŁ" nie jadają bułek, może są na diecie, może oni tylko sucharki chrupią, albo są tak zajęci nauką, że zupełnie nie czują, co jedzą. Czyż zatem można kwestionować próbę zbliżenia nauki do życia i to nie tego życia wydumanego, ale codziennego, a nawet porannego, kiedy łodzianie kupą walą po świeże bułeczki i chlebuś nasz powszedni?

Z tymi bułeczkami jednak nie koniec, bo (m. m.) z „GR" pisze dalej, że:

„Piekarze zapowiadają także poprawę jakości bułeczek; skarżono się, że przy przemysłowym wypieku ich skórka jest nazbyt twarda".

I znów popadam w rozterkę. Jeśli piekarze wiedzą, że bułeczki są do luftu, to czy trzeba ten fakt potwierdzać jeszcze naukowo, przy pomocy ankiety i współudziału „ekonomistów z UŁ"?

Ale (m. m.) pisze dalej:

„Jeden ze studentów wydziału chemii spożywczej odbywający praktykę w zakładach piekarskich zainteresował się tematem (czyli twardymi skórkami bułeczek — przyp. M. R.) i w swej pracy magisterskiej zaproponował sposób polepszenia jakości bułeczek. Próby powiodły się i wkrótce wskazówki te znajdą zastosowanie w produkcji dla handlu".

Po pierwsze — chciałbym znać nazwisko „jednego ze studentów wydziału chemii spożywczej", a domyślam się, że jest to student PŁ. Musi to być ewany facet. Po drugie — chciałbym znać nazwisko dyrektora „zakładów piekarskich", bo musi to być człowiek zajęty wieloma innymi sprawami, skoro studenci muszą go wyręczać w jego podstawowych obowiązkach. Po trzecie — znów popadłem w rozterkę, gdyż zupełnie nie wiem, czy trzeba aż pracy magisterskiej, aby bułeczki były smaczne?

Z jednej strony, kiedy nauka zbliża się do życia, to wypada cieszyć się i chwalić naukę. Ale z drugiej strony — co wypada myśleć o praktykach, którzy nie potrafią piec bułeczek z nie „nazbyt twardą skórką"? Czy należy cieszyć się, że nawet studenci w pracach magisterskich podejmują węzłowe tematy naszego życia? Czy smucić się, że dopiero trzeba studenckich praktyk, aby można było rozwiązać to, co powinni zrobić fachowcy zajmujący się tym na co dzień?

Niedawno miałem kłopoty ze zdrowiem. Badający mnie lekarz, stwierdziwszy, że nic groźnego mnie nie spotkało, polecił przez 3 dni jeść chleb z masłem i popijać herbatą.

— Chleb oczywiście mam jeść czerstwy? — zapytałem, aby nie popełnić jakiegoś błędu dietetycznego.

— A czy panu często udaje się spotkać świeży chleb?

Filozofowie twierdzą, że praktyka jest najwyższym sprawdzianem każdej teorii i mają rację. Ale to nie zmniejsza mojej rozterki.

MARCIN RODAK

CENTRUM TAJNEGO FRONTU (X)

ANDRZEJ BLAJER

KRYPTONIM – „LUCIE"

Był koniec listopada 1942 roku. Pod Stalingradem wojska radzieckie rozpoczęły właśnie okrążanie armii feldmarszałka Paulusa. Nic więc dziwnego, iż w tym okresie każda informacja dotycząca stanu liczebnego, uzbrojenia sił niemieckich zaangażowanych na froncie wschodnim, jak i planów operacyjnych hitlerowskiego dowództwa — stanowiła dla radzieckiego sztabu generalnego nieocenioną wartość.

Radiotelegrafiści Centrali wysyłali w eter coraz więcej poleceń dla grupy „Dory" w Szwajcarii. W tym bowiem czasie stała się ona (po zlikwidowaniu przez kontrwywiad niemiecki grup wywiadowczych w Niemczech, Belgii, Holandii i Francji) — główną siecią pracującą w Europie na rzecz wywiadu radzieckiego. Pracowano intensywnie, cały czas pilnie poszukując nowych źródeł informacji. Od lata 1942 roku poprzez „Sissy" udało się nawiązać kontakt z bardzo interesującym informatorem w osobie „Taylora" (Christiana Schneidera). Uzyskiwane od niego wiadomości zdumiewały zarówno „Dorę" jak i Centralę swoją precyzją, fachowością i szczegółowością świadczącą, iż człowiek ten musiał posiadać kontakty z osobami mającymi dostęp do najgłębszych tajemnic wojskowych Rzeszy. Mimo wielu usilnych prób podejmowanych przez grupę „Dory" w celu zidentyfikowania źródeł informacji „Taylora", żadnych wiadomości na ten temat nie uzyskano.

Pewnego listopadowego dnia 1942 roku podczas kolejnego spotkania „Sissy" z „Taylorem" ten ostatni zwierzył się, iż jego niemiecki przyjaciel, od którego otrzymuje informacje, wyraził chęć stałej współpracy z radzieckim wywiadem. „Taylor" dodał przy tym, że ów człowiek jest rozczarowany faktem, iż przekazane przezeń Anglikom (za zgodą wywiadu szwajcarskiego) niezwykle cenne informacje o sytuacji na froncie wschodnim nie są wcale wykorzystywane w interesie walki z Niemcami.

Uzgodniono, że „Taylor" przeprowadzi niezbędne rozmowy ze swoim przyjacielem, a „Sissy" powiadomi swoich rowie S., A. i O. Czynione wielokrotkaniu każda ze stron przedstawi konkretne warunki współpracy. Warunkiem ze strony nowego informatora było zachowanie przezeń w tajemnicy swego prawdziwego nazwiska. „Dyrektor" nie miał właściwie nic przeciwko temu, zastrzegł jednak, by również jego nie informować o prawdziwym nazwisku „Sissy". Tak oto grupa „Dory" zyskała nowe, jak się później okaże, najcenniejsze źródło informacji, któremu nadano pseudonim „Lucie" (od Lucerny — nazwy miasta, w którym mieszkał). Jak nietrudno się domyślić, owym informatorem był właśnie Rudolf Rössler, ale jak udało mu się dotrzeć do radzieckiej siatki wywiadowczej w Szwajcarii? Pomógł mu w tym przypadek.

Latem 1939 roku Rössler postanowił poszukać współpracownika dla swego wydawnictwa „Vita Nova". W tym celu dał odpowiednie ogłoszenie w „Neue Zürcher Zeitung". Wśród osób, które zgłosiły się doń po ukazaniu się inseratu, był niejaki doktor Christian Schneider. Podobnie jak Rössler był Niemcem, jednak od wielu lat mieszkał już w Szwajcarii, a od 1934 roku posiadał obywatelstwo tego kraju. Przez pewien czas pracował w Bureau International du Travail (BIT — Międzynarodowe Biuro Pracy) w Genewie, jednak gdy w 1939 roku zwolniono większą część współpracowników tej instytucji, wśród nich znalazł się również dr Schneider. Dlatego też będąc bez zajęcia odpowiedział na inserat zamieszczony w dzienniku. Schneider i Rössler szybko się zrozumieli. Mieli podobne zainteresowania literackie i polityczne, a także obaj byli zaciekłymi przeciwnikami narodowego socjalizmu. Z czasem współpraca między nimi zaczęła się coraz bardziej zacieśniać i niebawem Rössler wciągnął Schneidera do swej działalności konspiracyjnej. Schneider nie był nowicjuszem. Już wcześniej nawiązał kontakty ze swoimi znajomymi z BIT. Należała do nich m.in. Rachele Dübendorfer („Sissy"), która wraz ze swoim mężem, Paulem Böttcherem pracowała obecnie na rzecz wywiadu radzieckiego. Tak oto za pośrednictwem Schneidera Rössel nawiązał jesienią 1942 roku ścisły kontakt z grupą „Dory".

Informacje uzyskiwane od „Lucie" pochodziły, jak wiadomo, z najwyżej postawionych instancji dowódczych III Rzeszy, jak OKW, OKH, OKL. Jest więc zrozumiałe, iż w tym tak gorącym okresie kierownictwo Centrali było bardzo zainteresowane tym, co przedstawiają sobą informatorzy „Lucie", jak brzmią ich nazwiska, skąd czerpią informacje. Chodziło im o to, by upewnić się, iż są to źródła wiarygodne, tak łatwo można było wówczas paść ofiarą dezinformacji, a sytuacja pod Stalingradem i na północnym Kaukazie była przecież zbyt poważna, aby narażać się na takie ryzyko. Początkowo więc odnoszono się do informacji przesyłanych przez „Lucie" z dużą ostrożnością. Dawano mu polecenia i stawiano pytania, na które odpowiedź była już radzieckiemu dowództwu znana. Wszystkie odpowiedzi zawierały jednak informacje całkowicie zgodne z tymi, które posiadał wywiad radziecki. Postanowiono więc nawiązać z „Lucie" ściślejszą współpracę. Jego odpowiedź była jak najbardziej pozytywna, ujawnił przy tym tak interesujące Centralę szczegóły dotyczące możliwości zdobywania informacji przez jego berlińskich przyjaciół. Jednak kategorycznie odmówił podania ich prawdziwych nazwisk i stanowisk, bowiem jak twierdził, mogłoby to się okazać dla nich katastrofalne w skutkach. Od tego momentu Centrala nie zadawała mu już więcej pytań na ten temat.

Owa tajemnica Rössiera nie została wyjaśniona do dzisiejszego dnia. Na jej temat istniało cały szereg bardziej lub mniej prawdopodobnych przypuszczeń. Jednym z nich była sugestia, iż berlińską grupę informatorów Rössiera tworzyło dziesięciu wyższych oficerów, w tym pięciu generałów. Choć nazwisk ich nigdy nie ujawniono, to niektóre źródła wymieniają ich imiona i pierwsze litery nazwisk. Według nich byli to jakoby generałowie: Helmuth S., Hermann F., Rudolf G., Fritz T., Georg T., pułkownik O, major K. oraz oficerowie S., A, i O. Czynione wielokrotnie próby pełnego rozszyfrowania ich tożsamości nie przyniosły całkowitego rezultatu. Najprawdopodobniej chodziło o generałów: Helmutha Stieffa, Hermanna, Foertscha, Rudolfa Gercke, Fritza Thiele, Georga Thomasa oraz pułkownika Hansa Ostera z Abwehry. Nie ma jednak co do tego zupełnej pewności, gdyż w grę mogło wchodzić jeszcze kilku generałów o tych samych imionach i pierwszych literach nazwisk.

Allan Dulles, ówczesny rezydent wywiadu amerykańskiego w Szwajcarii, a późniejszy szef CIA, tak oto pisze o nich w swej książce „The Craft of Intelligence":

„Rosjanie korzystali wówczas z fantastycznego źródła informacji znajdującego się w Szwajcarii — imieniem Rudolf Rössler, który nosił kryptonim „Lucie". Z pomocą informatorów, których dotychczas nie udało się zidentyfikować, Rössler otrzymywał w Szwajcarii raporty (którymi rozporządzało naczelne dowództwo niemieckie w Berlinie), ze stałą regularnością, często w czasie krótszym niż 24 godziny od momentu wydania codziennych decyzji odnośnie działań na froncie wschodnim..."

Pomimo pozyskania do współpracy tak cennego źródła informacji sytuacja radzieckiej grupy wywiadowczej w Szwajcarii nie przedstawiała się pod koniec 1942 roku zbyt pomyślnie. Wytropienie przez kontrwywiad niemiecki, a zwłaszcza przez tzw. „Sonderkommando — Rote Kapelle" (Czerwona Orkiestra), zaś później rozbicie radzieckiej siatki wywiadowczej w Niemczech i kilku krajach okupowanych, spowodowało, iż gestapo i SD uzyskało szereg istotnych informacji odnośnie organizacji i działalności grupy „Dory". Niemcy poznali zarówno ów pseudonim, jak i prawdziwe nazwisko szefa sekcji działającej w Szwajcarii, wiedzieli także czym się zajmuje, znali jego adres w Genewie, posiadali również dość dokładne informacje o rodzinie Sandora Rado oraz o nim samym, a co najgorsze — przechwycili także szyfr, jakim posługiwał się w swej łączności z Centralą.

W ten sposób od grudnia 1942 roku część jego korespondencji z Moskwą znalazła się pod ścisłą kontrolą przeciwnika. Specjaliści służby radiopelengacyjnej mogli odtąd deszyfrować niektóre radiogramy, jakie „Dora" wysyłał dla „Dyrektora" i jakie od niego otrzymywał. Zaczęto także intensywnie badać zapisy depesz, przechwyconych przez kontrwywiad po zlokalizowaniu radiostacji grupy w Genewie i Lozannie w 1941 roku. Jak się później okazało, Niemcy dysponowali szyfrem, którym posługiwały się radiostacje „Edwarda", „Maud" i „Róży". Nie znali natomiast kodu, z którego korzystał „Jim". Dlatego też znaczna część depesz nie została przez kontrwywiad III Rzeszy rozszyfrowana. Niemniej informacje, które uzyskał, wprawiły jego szefów w osłupienie i wywołały dosłowną panikę na najwyższych szczeblach dowodzenia. Niemcy uświadomili sobie bowiem, że mają do czynienia z dobrze zorganizowaną siecią wywiadowczą, korzystającą z pierwszorzędnych źródeł informacji, pochodzących z central dowódczych Wehrmachtu. Był to dla nich grom z jasnego nieba. Sądzono, że chodzi o drobne, niewiele znaczące informacje, tymczasem depesze zawierały meldunki o planach operacyjnych i strategicznych, o dyslokacji i wartości bojowej całych armii i grup armii.

Niebawem Niemcy znali już większość pseudonimów współpracowników i informatorów grupy „Dory", w tym także i to, że informacje od „Lucie" docierały do „Dory" poprzez „Sissy". Porażka grup wywiadowczych we Francji i Belgii miała więc fatalne następstwa dla sekcji szwajcarskiej. Wróg kontrolował teraz łączność z Moskwą i miał konkretne dane o wielu członkach grupy. Meldunki te uzupełniały dodatkowo doniesienia jego agentów w Szwajcarii — Hansa Petersa, Rameau-Zweiga i innych. Niemcy mogli więc przystąpić teraz do działania w kilku kierunkach, jak przechwytywanie informacji, wysyłanie agentów do Szwajcarii oraz wywieranie presji na kontrwywiad szwajcarski, które to zadanie osobiście wziął na swe barki Schellenberg.

CIA PRZECIWKO KUBIE (I)

PO WYDARZENIACH W ZATOCE ŚWIŃ

W toku badania w komisjach Kongresu amerykańskiego działalności Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA) ujawniono wiele faktów brutalnej interwencji tej instytucji w wewnętrzne sprawy obcych państw. Zajmując wyjątkową pozycję „tajnego resortu", hojnie finansowana niezależnie od tego, kto rządził w Białym Domu — republikanie czy demokraci — i do jakiej partii należała większość w Kongresie, CIA stawała się coraz bardziej aktywnym narzędziem finansowej oligarchii i skrajnie reakcyjnych polityków amerykańskich.

Materiał, którego druk rozpoczynamy dzisiaj jest fragmentem książki dwóch amerykańskich autorów: Taylora Branch i George'a Crayle i dotyczy dywersyjnej działalności CIA przeciwko Kubie. Książka, która już niebawem pójdzie w świat nakładem „Harpers Magazine Press", jest obszernym dokumentem opartym na faktach zebranych przez obu autorów i potwierdzonym przez licznych świadków, w tym także byłych pracowników CIA. Wydarzenia, które są treścią naszych publikacji rozpoczynają się od momentu, kiedy po krachu inwazji na Kubę w Zatoce Świń, która w kwietniu 1961 roku podjęli kubańscy kontrrewolucjoniści popierani przez USA, Centralna Agencja Wywiadowcza przystąpiła do organizowania tajnej wojny przeciwko Kubie.

* * *

W ostatnich dniach administracji Eisenhowera pewni działacze polityczni w Waszyngtonie, którzy mieli powody, żeby źle życzyć pomyślnie rozwijającej się rewolucji u samych brzegów Florydy, nosili się z myślą zabójstwa Fidela Castro. Niektórzy z nich rozważali taką ewentualność z przedstawicielami służby wywiadowczej Pentagonu, która zorganizowała nagłe zmiany rządów w Gwatemali i Iranie. Chodziły słuchy, że do rejonu Morza Karaibskiego skierowano kilku agentów z zadaniem przygotowania przewrotu państwowego. Zresztą przed pogromem w Zatoce Świń mało o tych planach wiedziano. Operację tę podjęto przy pełnym poparciu rządu Johna Kennedy'ego, a jej zupełny krach uznał nowy prezydent za cios wymierzony w jego prestiż. Wkrótce potem wciągnął on Stany Zjednoczone do tajnej wojny przeciwko Kubie, w której brało udział kilka tysięcy ludzi i która kosztowała około 100 milionów dolarów rocznie.

Trwała cztery lata. Kennedy oddał ją w ręce CIA, która, jak opowiadają świadkowie, prowadziła liczne operacje, od szeroko zakrojonych aktów odwetu do małych pochodów krzyżowych. Agencja zorganizowała szereg desantów na wybrzeża Kuby i nasłała tam licznych najemników z zadaniem zabójstwa Fidela Castro. W 1964 roku CIA co tydzień zrzucała z samolotów na Kubę broń i dywersantów z zadaniem niszczenia rafinerii nafty, fabryk cukru, mostów kolejowych.

Tajna wojna zakończyła się fiaskiem na wszystkich frontach. Zamiast obalić Fidela Castro i jego rząd, uosobiła rewolucję z narodem kubańskim i przekształciła Kubę w sojusznika ZSRR. Metody, których używano w tej wojnie, z nieuchronnie towarzyszącym jej stosowaniem skrytych i przestępczych chwytów, stworzyły żałosny precedens. Liczni działacze w rządzie amerykańskim byli zmuszeni do naruszania praw własnego kraju, do wygłaszania świadomych ale wygodnych kłamstw i aprobowania taktyki zorganizowanej przestępczości. Trudno powiedzieć, czy owa taktyka wywarła wpływ na rozwój wydarzeń późniejszego dziesięciolecia. Ale nie ulega wątpliwości, iż docierające do wiadomości szerokich rzesz społeczeństwa plany zamachu, jak również oficjalnie organizowane spiski i zakulisowe operacje przygotowujące w istocie drugą skrytą wojnę — wojnę wietnamską, nie mogły nie wywrzeć szokującego wrażenia.

W Waszyngtonie prezydent Kennedy usiłował zrozumieć, dlaczego tak wielu ludzi dobrze znających swoje rzemiosło, którzy obalali inne rządy nie zostawiając najmniejszych śladów, poniosło tak sromotną klęskę. Obiecali odnieść zwycięstwo, a skończyło się na publicznej kompromitacji. Komunistyczny rząd na Kubie powinien być obalony a Fidel Castro zamordowany przez samych Kubańczyków, bez jakichkolwiek śladów amerykańskiej interwencji. A zamiast tego Castro okazał pogardę „imperialistycznym glistom" i zadał im klęskę. Chodziło tu nie tylko o to, że inwazja na Kubę zakończyła się upokarzającym fiaskiem militarnym; wysoko postawione osobistości w rządzie USA stały się pośmiewiskiem całego świata usiłując przedstawić tę operację jako akcję wolnych Kubańczyków. Szczegółowo opracowana w CIA „uniewinniająca wersja" inwazji na Kubę wyglądała absurdalnie. W końcu sam prezydent musiał wystąpić z oświadczeniem, w którym w całej rozciągłości przyjął na siebie odpowiedzialność za inwazję. Oświadczenie to uczyniło operację w Zatoce Świń synonimem międzynarodowego upokorzenia i było — bez precedensu w historii kraju — krzyczącym przykładem oficjalnego kłamstwa.

W Stanach Zjednoczonych odczucie kryzysu było tak silne, że wywołało obawy przed wybuchem wojny. Trzeba było zaapelować do społeczeństwa o poparcie prezydenta. Kennedy wykazał tyle przytomności umysłu, że wykorzystał tę sytuację ogólnej nerwowości i przeszedł do ataku szermując bronią patriotyzmu. W swoim pierwszym wystąpieniu po wydarzeniach w Zatoce Świń, Kennedy przedstawił tę operację nie jako tajne amerykańskie mieszanie się do wewnętrznych spraw obcego państwa, lecz jako sowieckie przenikanie do „wolnego świata". Powiedział, że międzynarodowa zasada niemieszania się do spraw obcych państw nie powstrzyma Stanów Zjednoczonych od użycia — w wypadku konieczności nawet w pojedynkę — siły militarnej dla zabezpieczenia własnej wolności.

Po wydarzeniach w Zatoce Świń używał (Kennedy — red.) całej swojej zręczności, żeby przedstawić siebie jako człowieka, który przyswoił sobie twardą lekcję historii i teraz żywi głęboką nieufność do CIA. Z Białego Domu przesączyły się do prasy sugestie jakoby plany CIA w stosunku do Kuby otrzymał Kennedy w spuściźnie po administracji Einsenhowera, że osobiście nigdy nie był ich zwolennikiem i że do urzeczywistnienia tych zamierzeń nakłonili go zainteresowani przedstawiciele CIA, zachęciwszy młodego i niedoświadczonego prezydenta do podjęcia takiej decyzji nim zdążył jeszcze przeprowadzić remont w Owalnym Gabinecie Białego Domu. Mówiono, że prezydent bardzo wątpił w możliwość przyjścia z pomocą sprawie wolności demokratycznych społeczeństw przy pomocy zakulisowych i okrężnych dróg. Opowiadano, że kipiał z gniewu na swoich doradców, przede wszystkim tych z CIA, których, jak powiedział do swoich najbliższych współpracowników, gotów był „zetrzeć na proszek i wyrzucić na wiatr". Demontując swoje niezadowolenie powołał komisję, w skład której wszedł również jego brat Robert, polecając jej przeprowadzenie śledztwa w sprawie działalności CIA. Wkrótce potem dyrektor CIA, Allan Dulles i autor inwazji na Kubę zostali usunięci. Twierdzono, że prezydent „przycisnął" CIA.

Tymczasem zamiast „starcia CIA na proszek", prezydent poddał ją kontroli i wzmocnił, poruczając Robertowi Kennedy'emu obserwowanie jej tajnych operacji. Robert Kennedy pilnował interesów prezydenta, nakłaniając CIA do ścisłego przestrzegania głównej politycznej zasady sprecyzowanej po lekcji w Zatoce Świń: tajne operacje nie powinny narażać prezydenta na ryzyko tak kompromitującej klęski. Zamiast zaprzestać tajnych operacji, CIA — otrzymawszy nowe uprawnienia i poparcie Białego Domu zaktywizowała je jak nigdy dotąd. Jeśli chodzi o Kubę, to nowa amerykańska polityka przyjęła formę szerokiej i bezprecedensowej tajnej wojny przeciwko rządowi Castro, którą planowała i prowadziła administracja Kennedy'ego za pośrednictwem CIA.

Prawie wszystkie akcje, które mogły przynieść szkody Fidelowi Castro, realizowano z inicjatywy i z aprobatą Białego Domu, a były one zdumiewająco zróżnicowane: od oficjalnie wprowadzonej blokady ekonomicznej Kuby — do nasyłania desantów dywersyjnych. Rozrzucone po całym świecie setki agentów CIA aktywizowały akty sabotażu przeciwko gospodarce Kuby. Ogólnie rzecz biorąc do antykubańskiej działalności przywiązywano tak wielkie znaczenie, że praktycznie włączono do niej wszystkie instytucje rządu federalnego. Powołano międzyresortowe komitety składające się z przedstawicieli Departamentu Stanu, Ministerstwa Finansów, Federalnego Biura Śledczego, Ministerstwa Handlu, Urzędu do Spraw Imigracji, nawet władz celnych, opracowujące plany walki z castrowską Kubą.

Prowadzenie zwykłych codziennych operacji poruczono Teodorowi Chuckly, będącemu wówczas nader obiecującym młodym pracownikiem CIA. Wkrótce po klęsce w Zatoce Świń dyrekcja CIA odwołała go z Berlina Zachodniego, powierzając mu kierownictwo grupy, której zlecono przestudiowanie „wrażliwych miejsc" rządu Castro. Na razie CIA prowadziła pospolite operacje wywrotowe przeciwko Kubie i starała się odtworzyć naruszoną sieć szpiegowską. Chuckly i jego pomocnicy do końca 1961 roku operacowywali plany uderzenia rządu Castro w „delikatne miejsca". W lutym 1962 roku Chuckly przyjechał do Miami, gdzie rozpoczął przygotowania do tajnej wojny przeciwko Kubie.

(Cdn)

MAGAZYN ODGŁOSY

KLUBY ODCHUDZANIA

W Anglii coraz większa popularnością cieszą się kluby odchudzania. Rocznie 60 tysięcy członków i członkiń tych klubów (kluby są ekskluzywne) „zrzuca" 1500 ton nadwagi. Ale większość Brytyjczyków chudnie nie z własnej woli. W ciągu ostatnich czterech lat średnia ilość kalorii wśród dorosłej części Brytyjczyków spadła z 2.750 do 2.400 dziennie. Jak podkreśla „Times", człowiek ulega tendencji chudnięcia kiedy czuje, że w przyszłości czekają go ciężkie czasy.

TYSIĄC RAZY SZYBCIEJ

W USA skonstruowano elektroniczny układ pamięciowy (ZU), który wybiera potrzebną informację (z banku informacji), tysiąc razy szybciej niż nowoczesne układy podobnego typu znane na Zachodzie. Działanie tego układu opiera się na wykorzystaniu strumienia elektronów, co pozwala na szybkie wybieranie danych a specjalna tarcza półprzewodnikowa zapewnia wysoka ścisłość układu informatycznego.

PIJANE SŁONIE

Rezerwaty dzikich zwierząt we wschodniej Afryce nie są już dziś podobne do spokojnych ogrodów zoologicznych, jak często przedstawiają je reklamowe ogłoszenia firm turystycznych. W rezerwacie Mikumi, jak podano w sprawozdaniu zarządu narodowych ogrodów zoologicznych Tanzanii, dzikie słonie, po zjedzeniu sfermentowanych owoców, wpadły w stan upojenia alkoholowego. Słonie zaczęły nagle przeraźliwie trąbić łamać drzewa i atakować inne zwierzęta. Niektóre zataczały się od drzewa do drzewa. Turyści przebywający w tym czasie w rezerwacie ledwie zdołali uciec, wielu doznało szoku nerwowego.

BEZ POSAGU

Odtąd mąż we Włoszech przestał już być panem domu. Biorąc ślub cywilny kobieta nie musi teraz składać przysięgi, „że będzie mu posłuszna i nie opuści go aż do śmierci". Wprowadzona ustawa o rodzinie znosi także obyczaj posagu. Niektóre postanowienia nowego kodeksu są sprzeczne z przepisami Kościoła, warunkującymi obraz życia Włochów. I tak np. minimalny wiek nowożeńców wynosi obecnie 18 lat, natomiast Kościół zezwala dziewczętom na ślub w wieku lat 12, a chłopcom w wieku 14 lat. Poza tym, na odbytym w Grottaferrata sympozium pracowników sądów apelacyjnych podkreślono, że praktyczne zastosowanie nowej ustawy jest obecnie niemożliwe. Jej postanowienia są tak złożone, że wymagają podstawowych zmian w systemie przewodu sądowego, wyszkolenia nowych kadr prawników i pracowników administracji państwowej, co związane jest z ogromnymi kosztami.

„POLOWANIE NA CZAROWNICE"

Zachodnioniemiecki Bundestag zaaprobował rządowy projekt ustawy zabraniający ludziom „o radykalnych poglądach politycznych zajmowania stanowisk w urzędach i instytucjach państwowych". Jak podaje „Times" w korespondencji z Bonn, ustawa wywołała duży niepokój poza murami parlamentu — nie tylko lewicowcy, lecz także liberałowie uważają, że może to oznaczać początek kampanii „polowania na czarownice".

Sensacje ze ŚWIATA

NOWY REKORD

Według danych, opublikowanych w Waszyngtonie, Stany Zjednoczone w ubiegłym roku finansowym, zakończonym 30 czerwca br., ustanowiły nowy rekord w handlu bronią i sprzętem wojskowym. Jak podało Ministerstwo Obrony wartość dostaw wojskowych dla 72 krajów osiągnęła sumę 9 miliardów dolarów. 44 procent z tej sumy przypada na broń i amunicję, 23 procent — na części zapasowe, 12 — na sprzęt pomocniczy, 20 procent wydatkowano na przeróżne prace inżynieryjno-budowlane i programy przygotowania specjalistów wojskowych.

DEFICYT TOKIO

Tokio, podobnie jak Nowy Jork, przeżywa duże trudności finansowe. Deficyt władz municypalnych stolicy Japonii nie jest jednak aż tak wielki, jak Nowego Jorku, przed którym stoi widmo bankructwa. Niemniej do końca roku budżetowego, kończącego się w marcu 1976 roku, władzom miejskim Tokio zabraknie około 400 milionów jenów. Gubernator stolicy Japonii, 71-letni prof. Reiti Minobe, nie zwrócił się oficjalnie do rządu o pomoc, ale daje wyraźnie do zrozumienia że centralne władze ponoszą winę za inflację, przeto one powinny przyjść stolicy z pomocą.

PISARZE NA KURSIE SCOTLAND YARDU

Niezwykły kongres autorów powieści kryminalnych odbył się w Anglii. Przez cały tydzień 300 pisarzy specjalizujących się w tego rodzaju twórczości słuchało wykładów specjalistów ze Scotland Yardu na takie tematy, jak: technika otwierania zamków, stosowanie przeróżnych rodzajów broni, konstruowanie bomb z mechanizmem zegarowym w warunkach domowych itp. Do programu włączono również zwiedzanie portu londyńskiego, gdzie pisarze obejrzeli miejsca autentycznych przestępstw i gdzie „na miejscu" odegrano przed nimi sceny z praktyki przestępczej.

ZATARTE ŚLADY

W mediolańskim sądzie spłonęły akta z 80 sprawami sądowymi, w których znajdowały się także dokumenty dotyczące politycznej akcji prawicowych ekstremistów oraz zbrodni mafii. Jak oświadczyła policja, nieznani sprawcy otworzyli drzwi jednego z pokojów Pałacu Sprawiedliwości, wylali z czterech szaf dokumenty, oblali je benzyną i podpalili. Pożar trwał całą noc. Jest to już drugi w tym roku wypadek zniszczenia ważnych dokumentów politycznych w mediolańskim sądzie. Cztery miesiące temu z innego pokoju Pałacu Sprawiedliwości w Mediolanie zniknęły akta zawierające 100 ważnych spraw sądowych.

SPOSOB NA ZŁODZIEI

Kradzieże w wielkich hotelach Zachodu stały się prawdziwą klęską. Próby wzmocnienia ochrony hoteli nie dały wyników. Problem ten rozwiązała kompania „General Dynamics", konstruując zamek bez klucza. Zastępuje go zakodowana płytka z plastyku którą gość w hotelu otwiera drzwi swego pokoju. Pracownik hotelu nanosi na nią, specjalnym bezbarwnym płynem, numer pokoju i dodaje jego kod. Gościowi pozostaje tylko włożyć ów „klucz" do specjalnego otworu w drzwiach, żeby je otworzyć. Czy system ten zda egzamin, czas pokaże. Na razie z powodzeniem stosuje go hotel „Hilton" w Paryżu.

Fot. Archiwum

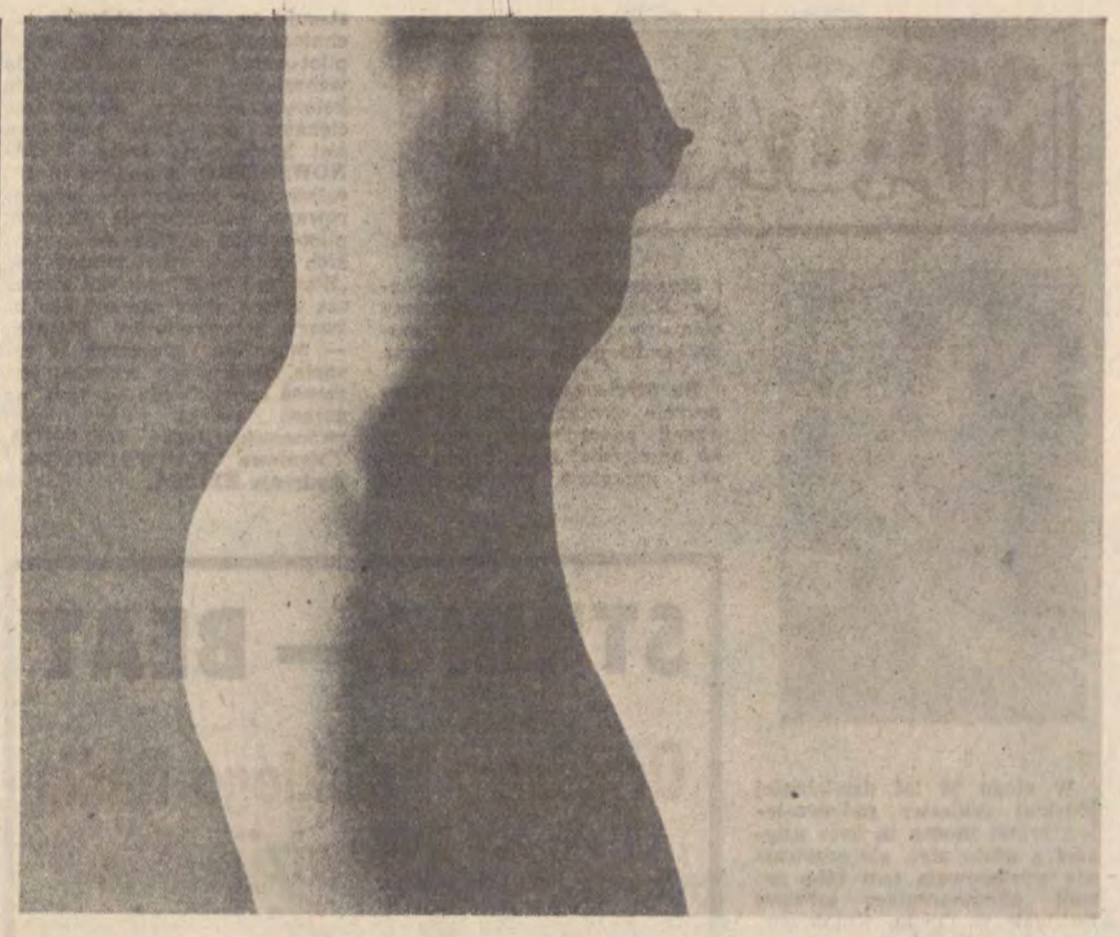

Fot. Archiwum

Z RAD SĘDZIWEGO REŻYSERA

Sędziwego reżysera zwykle otaczała wieńcem życzliwa młodzież. A on serdecznie i prosto tak gawędził z nimi: „Film by o was zrobić łobuzy! Albo dwa filmy. Jeden o chłopakach, o dziewczynach drugi. Ja bym ten o dziewczynach!" Dziewczyny piszczały zawstydzone. A najśmielsza, Funia skromnie wyznawała: „Nie zasłużyłyśmy na to... Nawet rajstop ładnych nie mamy!" Wtedy sędziwy reżyser żartobliwie groził Funi grubym palcem, wręczał jej za skromność różowe rajstopy i poważniejąc radził: „O higienie pamiętajcie, urwisy! Ja sam, choć historycznych filmów tyle nakręciłem, jeszcze trzy przysiady zrobię". I sędziwy reżyser na oczach zdumionej młodzieży wykonywał jeden półprzysiad.

CIEKAWE NOWOSCI

Wytwórnia Filmów Dziecięcych im. „Dziecka W Kolebce Które Urwało Łeb Hydrze" opracowała nowe pozycje dla naszych najmłodszych. Oto kilka. „Przygody deseczki do krajania mięska" — z Polędwiczką w roli głównej. „Kłopotki malutkiego Werthera" — rzecz na kanwie o nocnym moczeniu się dwulatków. „Fistułka Babuni" — o potrzebie szacunku dla starszych oraz „Wariacje z Gribojedowa" — harcerska ballada o jadalnych grzybach.

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina"
KIG

W WALCE O DUMĘ

Naukowcy filmowi kończą sporządzanie listy materialnych dowodów wpływów kultury polskiej, rozsianych po całym świecie a godnych sfilmowania. Do listy tej ostatnio dołączono: A. Skrzywiona ne bakier krzywa wieże w Pizie, B. Peruwiańska odmiana pelikana o chopinowskim profilu, C. Zwieńczenie katedry w Turnando w formie odwróconego kieliszka. Samuraj, którego kręgosłup orzechodzi płynnie w pawie pióro — nie został zweryfikowany.

TRZEBA MOCNO CHCIEĆ!

W Lewiatanach, w barze „KOSMOS" miał miejsce ambitny wypadek. Zastępca agronoma Jan P-ski oświadczył zebranym konsumentom, iż będzie pić piwo tak długo aż przyjedzie kronika filmowa i nakręci go przy tej czynności. W dramatycznym wyścigu, który nastąpił, zwyciężył pęcherz.

NASZ DOWCIP REFLEKSYJNY

Raz garbaty i zwykły poszli w Himalaje. Garbaty szedł pierwszy a zwykły za nim. Szli szli, szli i ten dowcip kończy się tak, że jak już byli na szczycie, to ten zwykły myślał że jeszcze nie są, bo garbaty mu zasłaniał. Jak się opowiada, to jest śmieszne. Ale jakby z tego film nakręcić, to głupie by było i dosłowne. Na czym to, cholera, polega???

ANDRZEJ CZEKALSKI

BOHDAN PIĄTKOWSKI

HUMORESKI

— Miałem jednego wuja, Eligiusza Wampirka, ale ślad po nim zaginął w czasie wojny japońskiej — sprostowałem.

Poseł uśmiechnął się tajemniczo i odpowiedział:

— W porządku, to właśnie ten. W tajemnicy, poniekąd, przed rodziną, wyjechał do Klipergwaju, gdzie zrobił dużą forsę i trzasnął kopytami, to jest, pardon, de mortuis nil nisi bene.

Byłem w siódmym niebie! Wszystko się świetnie składało. Wróci Zosia z wczasów, dzieciaki przyjadą z kolonii i wszyscy się ucieszą, że ojciec przeprowadził taki drenaż kapitalistycznego mocarstwa.

— Pardon, teraz mi się polski już nie wydaje taki trudny. Wychodź pan z wozu, bo mi paliwo zaczęło wyciekać i z obciążeniem nie dojadę do stacji. Poczekaj pan chwilę, zaraz wracam.

Najpewniej odkrył jakieś poważne uszkodzenie, bo czekałem do rana i dopiero o świcie zabrała mnie do domu ciężarówka z mleczarni.

Widać tego dnia prześladował mnie pech — nie tylko nie dojechałem do ambasady, ale jeszcze jakieś bandziory opędzlowały mi mieszkanie z cenniejszych rzeczy. Podejrzewam, że ma to jakiś związek z wizytą dyplomaty. Na pewno dowiedzieli się o spadku i szukali u mnie dewiz. Ale, że w domu znaleźli tylko jedną dewizę wyhaftowaną na serwetce w kuchni: „Dobra żona tem się chlubi, że gotuje, co mąż lubi" — zabrali telewizor, radio i trochę garderoby.

Milicji nie zawiadomiłem. Jeszcze by się im nie spodobały moje kontakty z obcymi poselstwami!

SZCZĘŚLIWA KOBIETA

Usiadłem na skraju krzesła.

— Niech pan będzie łaskaw chwilę poczekać — powiedziała pani Kuszpielakowa, wlewając budyń do salaterek. — Zaraz porozmawiamy, tylko się trochę opędzę z robotą.

— Ja na momencik — zastrzegłem się.

Gospodyni nie słyszała, gdyż jej uwagę zajęła bójka, jaka wybuchła między dwoma synkami w wieku 10—12 lat. Sprawnie rozdzieliła ich wymierzając każdemu po kilka klapsów i rzuciła się w kierunku pralki, która przestała pracować. Szybko wylała brudną wodę, przechyliła sagan z wrzątkiem, dodała płynnego mydła i powtórnie uruchomiła motorek.

— Pan z komitetu domowego? — zapytała.

— Tak jest, szanowna sąsiadko, wypełniamy kwestionariusz i brak nam danych dotyczących mieszkańców tego lokalu.

— Momencik! — zawołała pani Kuszpielakowa. — Rysiu, co ty panu wkładasz do kieszeni?

— Drobiazg — starałem się uśmiechnąć. — To tylko jakaś deseczka.

W chwilę później okazało się, że do deseczki przymocowana była pułapka na myszy.

Wśród wrzasków ukaranego malca i przeprosin, pani Kuszpielakowa obandażowała mi palce, po czym rzuciła się na ratunek kipiącej w kociołku kaszy. Mówiła przy tym:

— Dzieci uspokójcie się, proszę, przecież wiecie, że ojciec lubi się zdrzemnąć po dniu pracy. Jeszcze go które obudzi!

Ale obudziło się tylko niemowę, które zaraz trzeba było przewinąć.

Już miałem powiedzieć o co idzie, kiedy do kuchni wdarł się rozwścieczony lokator z parteru, któremu Grześ przed chwilą wybił szybę. Gdy matka wysłuchiwała skarg gościa, ja opędzałem się gromadce roześmianej dzieciarni usiłującej wciągnąć mnie do zabawy w „chowanego". Po wyjściu zagniewanego sąsiada, odpięła mi z pleców karteczkę z podobizną dorodnej świni, którą przyszpiliły rozgoryczone dzieci.

— Cóż za kwestionariusz pana tu sprowadza? — zapytała przysiadając na taborecie.

— Nie wiedzieliśmy, czy pani pracuje zawodowo. Ale po tym co widziałem.

— No, tak — powiedziała pani Kuszpielakowa, uśmiechając się z zażenowaniem. — Mam dobrego męża i jestem w tym szczęśliwym położeniu, że istotnie mogę sobie pozwolić na to, żeby nigdzie nie pracować.

WŁODZIMIERZ ŚCISŁOWSKI

PLAYBOY

W Peku za dolce
kupił wranglery,
bo nie jest gołcem
wśród swojej sfery.

Gdy angielszczyzną
sepleni swoją,
każdy mu przyzna,
że jest playboyem!

Fajfów i przyjęć
święci godzinki,
lecz jeśli pije,
to tylko drinki.

Chociaż jest głodny,
zapał ma w piersi:
wzorem zachodnim
łyka krakersy!

Jest koneserem
produktów z tuby:
wyciska serek
z uśmiechem lubym.

Będąc elity
cząstką bezsporną,
jeżeli czyta,
to tylko porno.

Kurtkę zamszową
ma z Paryżewa,
Yardleya powab
wokół rozsiewa.

I tylko w głowie
tego człowieczka
pachnie krajowa,
zwyczajna sieczka.

DYPLOMATA

Przed drzwiami stał jakiś osobnik w imponującym fraku z lampasami. Wachlował się trzymanym w ręce czarnym pirogiem.

— Si vis pacem, para bellum — powiedział na powitanie. — Alea iacta est de Klipergwaj, co znaczy: jestem posłem Klipergwaju. Przybywam, senhor, w sprawie pańskiego wuja, który zmarł w naszym kraju, pozostawiając panu ładny, poniekąd, majątek. Morituri te salutant — jak mówi klipergwajskie przysłowie. Weźmie pan dowód osobisty, książeczkę ubezpieczeniową i od ręki załatwimy niezbędne formalności. Po wniesieniu dwudziestu trzech złotych na znaczki stemplowe otrzymasz pan plik akcji trustu stalowego i cztery miliony dolarów gotówką. Pecunia non olet. Bierz senhor, płaszcz i jedziemy. Gablota czeka.

Zszedłem na dół. Stara „Dekawka" na chodzie motor warczy, karoseria z dykty się trzęsie, jak w tańcu świętego Wita. Z całej ulicy przyleciały dzieciaki, pokazują wóz palcami, ryczą ze śmiechu. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, że mój dobroczyńca będzie obrażony, ale na szczęście dyplomata tylko się uśmiechnął i powiedział, że u nich stare samochody to największy szyk i że ten wóz sam Morgan chciał u niego kupić.

Wsiadłem do wozu, a poseł ukłonił się kapeluszem i zawołał:

— Szofer zawiezie senhora do ambasady, gdzie zapłaci pan pieniążki, a ja tu jeszcze mam w okolicy jedną wystawę do otwarcia i zaraz do was przyskoczę. Lapsus linguae, czyli, poniekąd: do widzenia!

Podróż miałem krótką, ale przyjemną; tylko szofer widać po polsku nie umiał, bo na każdą moją uwagę odpowiadał:

— Si si, senhor calipso pumpernikiel.

Dopiero kiedyśmy jechali przez las, wysiadł, pogrzebał w motorze i złożył swoje dyplomatyczne dementi:

SZCZĘŚLIWA KOBIETA

MAGAZYN
ODGŁOSY

STRING — BEAT

Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi

dyryguje Henryk Debich

W ciągu 25 lat działalności łódzkiej orkiestry radiowo-telewizyjnej można ją było usłyszeć z wielu płyt, ale przeważnie występowała tam jako zespół akompaniujący solistom festiwali w Opolu, Kołobrzegu i Sopocie. Na płycie wytłoczonej przez „Muzę" (SX 1278) Orkiestra PR i TV w Łodzi prezentuje się w zupełnie nowej szacie. Odkrywa możliwości wykonawcze poszczególnych muzyków i grup instrumentalnych, a także — co nie jest bez znaczenia — pokazuje dorobek kompozytorski łódzkich artystów. Utwory zgromadzone na longplayu są rezultatem pierwszych prób tzw. „Studia nagraniowego Henryka Debicha", którego bazę stanowią ludzie młodzi, utalentowani, „rozwojowi", poszukujący nowych rozwiązań dźwiękowych i aranżacyjnych. Nie tracąc z oka, a właściwie z ucha najmodniejszych prądów pojawiających się w światowej muzyce rozrywkowej studio zaprasza często do współpracy znanych, zagranicznych kompozytorów, aranżerów i dyrygentów. Stąd też słuchając „String beatu" odnajdziemy elementy różnych stylów muzycznych: popu, rocka i jazzu.

Na płycie zamieszczono kompozycje wybrane z całości produkcji nagraniowej orkiestry na przestrzeni roku, dzięki czemu uniknięto tej monotonii wyrazowej, jaka charakteryzuje nagrania powstające w Polskich Nagraniach seryjnie — w jednym czasie i często w jednym klimacie akustycznym. Tutaj oprócz tego, że same utwory są stylowo zróżnicowane, posiadają zupełnie odmienne barwy i obrazy stereofoniczne. Nie jest to zresztą sprawa przypadku, lecz wynikiem poszukiwań reżysera **Michała TARGOWSKIEGO** w zakresie przekształcania dźwięku. W zależności od rodzaju i charakteru muzyki **stosuje on szereg zabiegów technicznych, takich jak m.in. pilot-sound czy phasing dla wzbogacenia i unowocześnienia kolorytu orkiestry. Szczególnie ciekawa pod tym względem jest kompozycja Jacka MALINOWSKIEGO „Standard in B". całkowicie akustycznie spreparowana, zdominowała efektami pilot-soundu użytego we wszystkich grupach instrumentalnych. „Standard in B" zamyka pierwszą stronę płyty zawierającą utwory kompozytorów łódzkich — muzyków grających w zespole, dla których orkiestra jest szansą sprawdzenia od razu, na gorąco swoich umiejętności twórczych: Jacka DELONGA, Zbigniewa KARWACKIEGO i Andrzeja ŻYLISA.**

Druga strona krążka to w przeważającej części opracowania znanych standardów światowych.

Realizacja melodii Izaaka Hayesa z filmu „Shaft" opracowanej przez **Martina HOFFMANNA** z NRD (dyrektora Międzynarodowej Orkiestry Symfonicznej składającej się z instrumentalistów wszystkich krajów demokracji ludowej) — moim zdaniem — śmiało dorównuje nagraniom renomowanych zachodnich wytwórni. Wariacje na temat „Obladi, obladа" Johna Lennona i Paula Mc Cartneya (również pomysłu M. Hoffmanna) zaskakują dowcipnymi pointami a la Mozart, Beethoven i Czajkowski.

Jacek Malinowski zaprezentował przykład zręcznej aranżacji przenosząc na nasza orkiestrę, opracowany specjalnie z myślą o płycie, utwór Herbie Hancocka „Kameleon". Miłośnikom muzyki z kręgu filmu na pewno podobać się będzie „Opadający widnokrąg" Andrzeja Żylisa utrzymany w klimacie obrazów Lelouche, zdecydowanie odbiegający nastrojem od pozostałych pozycji zarejestrowanych na płycie. Znakomite solówki **Stanisława KRAWCZYKA** na gitarze, Zbigniewa Karwackiego na flecie i Jacka Malinowskiego na klawesynie elektrycznym oraz precyzyjną pracę sekcji rytmicznej usłyszeć można w kolejnej kompozycji Jacka Malinowskiego „Bądź wieczorem w dyskotece".

Wstępny, reklamowy nakład longplaya „String-beat" ukazał się w sierpniu na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie wywołując duże zainteresowanie wśród zwolenników tak poszukiwanej a jakże często niedocenianej instrumentalnej muzyki rozrywkowej, budząc przychylne opinie krytyków. Między innymi zwrócił uwagę radziecki wytwórni „Melodia" zamierzającej wydać płytę w około dwustu tysiącach egzemplarzy.

Tak więc „String-beat" okazał się reprezentatywnym akcentem jubileuszu 25-lecia Orkiestry PR i TV w Łodzi kierowanej i stworzonej przez **Henryka DEBICHA**, który poprzez stałe wprowadzanie zmian w technice nagraniowej, profilu artystycznym i linii repertuarowej konsekwentnie przybliża się do koncepcji stworzenia nowoczesnej, uniwersalnej orkiestry estradowej. Myślę, że znalazła ona już swoje miejsce we współczesnej muzyce rozrywkowej.

KRYSTYNA PIETRANEK

PRZODEM DO PRZODU

Fot. Archiwum

POWIĘKSZENIA

PRZEPIS RAJCY NA FELIETON

Plotka głosi, że krakowski felietonista, **Brunon Rajca**, umówił się z pewnym głośnym felietonistą warszawskim, że ten będzie się go czepiał co tydzień. Dziś Rajca jest jednym z popularniejszych dziennikarzy w Polsce!

A jaki jest Rajcy przepis na felieton? Ku uwadze młodych adeptów ujawniamy. Otóż nieważny problem i sprawa. Ważne nazwiska! Im więcej nazwisk w felietonie, tym większa popularność tekstu.

Przykłady? Proszę bardzo. **Tylko dwa ostatnie felietony Brunona Rajcy w „Życiu Literackim" i „Szpilkach" (łącznie około 5 stron maszynopisu)** zawierają nazwiska: Krystyny Leski, Bogumiły Wander, Wandy Warskiej, Andrzeja Kurylewicza, Czesława Niemena, Jana Ciszewskiego, Władysława Machejka, Krzysztofa Teodora Toeplitza, Stefana Garczyńskiego, Mieczysława Górkiewicza, Krystyny Małak, Marii Blaut, Ryszarda Filipskiego, Anny Polony, Jerzego Krassowskiego, J.M. Rymkiewicza, Stanisława Tyma, Jana Pawła Gawlika, Jerzego Jarockiego, Sławomira Mrożka, Ewy Lassek, Ryszarda Smożewskiego, Jerzego Golińskiego, Witolda Fillera, i dra W. Winscha...

Wynosi to — mniej więcej pięć nazwisk na stronę maszynopisu. Tak trzeba.

Łódź od paru lat cierpiała na chroniczny brak dużych międzynarodowych imprez z udziałem naprawdę renomowanych wykonawców. Chodzi tutaj o koncerty zespołów, których brzmienie nazwy nie jest obce nawet laikowi, o występy artystów, których nazwiska przewinęły się przez całą światową prasę. Słowem — chodzi tu o gwiazdy!

Pamiętam, kiedy to jeszcze w połowie lat sześćdziesiątych zawitali do Łodzi „The Hollies", a wraz z nimi przyjechała wówczas filigranowa Lulu. Pamiętam też, jakim powodzeniem cieszył się występ w łódzkim „Pałacu Sportowym angielskiej grupy „The Animals" z Ericem Burdonem na czele — grupy znanej dzisiejszym nastolatkom być może jedynie z legendy.

Niewykluczone, że pominąłem jeszcze jakieś autentyczne wydarzenie związane z przyjazdem do naszego miasta zagranicznych piosenkarzy (aha, jeszcze Paul Anka!) zespołów.... Ale wszak to już tyle lat! Bo później była już tylko — cisza. Ileż to imprez organizowanych przez „Pagart" nie odbyło się właśnie w Łodzi? Nie myślę tutaj wyłącznie o „ROLLING STONES-ACH", na których koncert zjeżdżali z całego kraju musieli wybrać się do stolicy, ani nawet o — znajdujących się wówczas u szczytu sławy — muzykach z „Blood, Sweat and Tears", ale raczej o tej niemałej liczbie pozostałych zaproszonych gości z zagranicy, którzy mogli wystąpić na estradach innych miast wojewódzkich, a do nas ich nie sprowadzano.

Tak było do niedawna. Jednakże zbyt długi okres oczekiwania na to, by wreszcie usłyszeć i zobaczyć „na żywo" swego idola wywołał u publiczności (zwłaszcza tej najmłodszej) nie zawsze spodziewane i kontrolowane reakcje.

Przekonać się o tym można było w końcu września, przy okazji imprezy pn. „Pożegnanie lata" (z udziałem m.in. holenderskiego zespołu „LIVIN' BLUES"). Znajomi, wszyscy od lat siedzący po same uszy w muzyce rozrywkowej, zgodnie twierdzili, że był to od czasu rozkwitu tzw. „mocnego uderzenia" najbardziej ekstatyczny koncert beatowy. Równocześnie — dodam — była to impreza, na której najmniej można było słyszeć wykonawców. W zamian mogły spotkać widzów bodźce nieco innego rodzaju, gdyż wśród tańca i wrzasku przeważającej części widowni wypełniającej po brzegi halę, coraz to ktoś wyrzucał coś w górę. A wyjaśnić trzeba, że nie zawsze owo „coś" było miękką częścią garderoby.

Amatorzy bliskich kontaktów z gwiazdami estrady zebrali się przed pierwszym rzędem, tuż przy scenie by odtańczyć swój taniec szczęścia. Jednak w wyniku niespodziewanie powstałego naporu, pierwszy rząd krzeseł legł po chwili. I to o tyle niefortunnie, że nie wszyscy z drugiego rzędu zdążyli wyciągnąć nogi spod walących się pokotem drewnianych oparć. Mój znajomy, który znalazł się właśnie w takiej sytuacji, musiał następnego dnia złożyć — bynajmniej nie kurtuazyjną — wizytę chirurgowi...

Tymczasem ponoć wokół Pałacu Sportowego zgromadził się tłum bezbiletowych sympatyków muzyki, na których rozproszenie długo szukano recepty. Nie jest ostatecznie pewne, czy poskutkował sposób zastosowany przez władze porządkowe, czy informacja o dodatkowym koncercie w dwa tygodnie później? W każdym razie młodzież rozeszła się do domów w zgodzie z organizatorami.

Dlaczego przytaczam ten obrazek? Otóż wiemy wszyscy, że nasza hala przeznaczona jest do imprez masowych (że akurat do nieco innego typu imprez — niech o to się martwi wiecznie nieszczęśliwi z tej okazji akustycy), ale pamiętać trzeba o tym, iż w tych samych ławkach gromadzą się obok siebie różni widzowie, którzy reagują nieraz w diametralnie odmienny sposób. Ale i to nie jest najważniejsze. W końcu ktoś przychodzący na taką „halówkę" wie, czego może od współziomków oczekiwać (chociaż gość z Zachodu miałby prawo być nieco zaskoczony taką postawą naszych „obserwatorów" koncertu, bowiem tam od pewnego czasu coraz częściej występy muzyków po prostu — obserwuje się), jednak trzeba ustalić „pułap żywiołu", zabezpieczyć nie zainteresowanym tymi wyczynami możliwość oglądania estradowego show, a wreszcie — zapewnić występującym godziwe warunki pracy. Bo przecież; co innego wspólna zabawa, a co innego przeszkadzanie wykonawcom.

I pod tym względem mógł się podobać ostatni, bo listopadowy (na grudzień imprezy takiej nie przewidziano) koncert z cyklu „Gwiazdy światowej rozrywki", na którym zaprezentowano węgierską grupę rockową „PIRAMIS" i angielski zespół „THE MUD". Wszystko wypadło niemal dobrze: estradę odgrodzono od widowni specjalną balustradą, po bokach posadzono kilku milicjantów, rozstawiono porządkowych dla zapewnienia minimum koniecznego, by odróżnić zorganizowany starannie koncert od happeningu. Rezultat: obyło się bez jakichkolwiek większych konfliktów. Wszyscy byli zadowoleni.

Poza tym wyrobionego nawet widza zafrapować mógł show grupy „THE MUD", występujący w pierwszej części „Piramis Rock" okazał się w konfrontacji z Anglikami zespołem nie najwyższego lotu). To, co na pierwszy rzut oka wzbudzało zaufanie, to znakomita aparatura, jaką dysponował „Mud". Ale przecież ten sprzęt obsługiwali ludzie i — robili to bezbłędnie. Kilkunastu „technicznych" wtopionych w świetlną scenografię, nawiązującą do mody psychodelic, dwoiło się i troiło, bo — jak się okazało — program był pod każdym względem opracowany w najdrobniejszych nawet szczegółach — ba, wszystko zaplanowano i realizowano co do sekundy. Zauważyłem, jak w pewnym momencie jeden z asystujących wykonawcom chłopaków w czarnych golfach wyjął z kieszeni małą latarkę, poświecił na swój czasomierz i pobiegł co prędzej po kolejną świecę dymną... Wreszcie — sama muzyka z niezapomnianym beatlesowskim „I WANNA HOLD YOUR HAND". To musiało zrobić wrażenie. I zrobiło.

Jakże odmiennie wyglądał show SACHY DISTELA — swobodny i bez zbytniej prowadzony ekscytacji. Bez pośpiechu, ze znikomą ilością estradowych niespodzianek, a jednak dobry w przyjętej konwencji. Twórcy programu francuskiego gwiazdora wprowadzili na estradę, oprócz Distela i akompaniującego mu pięcioosobowego zespołu instrumentalnego, młodą piosenkarkę oraz znakomitego, całkiem nieźle śpiewającego i parodiującego (do parodii uciekał się też sam Sacha) komika, którego gagi stanowiły istotną część spektaklu. Przy okazji warto zwrócić uwagę na fakt, że poważny procent tego show to po prostu rozmowa Distela z publicznością (czy raczej: do publiczności), a mimo to ani minuta nie była „przegadana" I to, że ten monolog artysty nie ciążył odbiorcom uważam za największy atut „SACHA DISTEL SHOW".

Pisząc o tych dwóch całkowicie odmiennych, a na swój sposób umiejętnie zrobionych programach, przykro się robi człowiekowi, że w kraju nikt nadal nie potrafi skonstruować równie ciekawego widowiska. A swoją drogą, czekając na nasze rodzime programy naprawdę wyreżyserowane, warto pamiętać, idąc na następne imprezy do naszego Pałacu Sportowego, iż na prawdziwy „show" składa się i nasze tam zachowanie, że „show" to nie tylko i wyłącznie to, co dzieje się na estradzie.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

„SHOW" NIE TYLKO NA ESTRADZIE

WIELKI KIERMASZ GWIAZDKOWY

Atrakcyjne upominki gwiazdkowe

oferują łódzkie przedsiębiorstwa handlowe na kiermaszu zorganizowanym

w Łódzkiej Hali Sportowej

w dniach od 12 do 22 grudnia br.

Kiermasz czynny codziennie w godz. 11–19

4416

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90 102. Telefony 652 44, 217 98 oraz 293 00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 2504. U-12. Nr indeksu 37006/26762.